ŁOWIEC POLSKI



51 ROK
WYDAWNICTWA

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr 10 (971) PAŹDZIERNIK 1949 R. CENA 60 ZŁ

SPIS RZECZY W NUMERZE:

Nasza okładka: Drużyna czechosłowacka i polska na strzelnicy w Jicinie

ŁOWIEC POLSKI

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr 10 (971) 1949 **PAŹDZIERNIK**

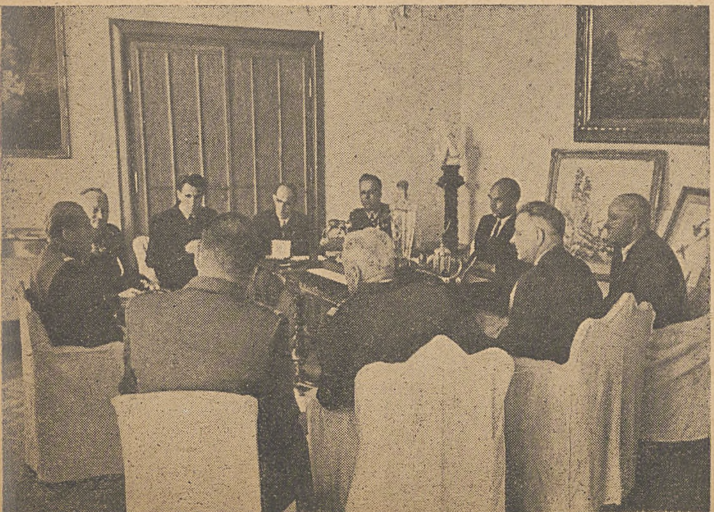


EKIPA STRZELECKA POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO U MARSZAŁKA POLSKI — MICHAŁA ŻYMIERSKIEGO PROTEKTORA NASZEGO ZWIĄZKU

W dniu 6.9.1949 r. Minister Obrony Narodowej — Marszałek Polski Michał Żymierski Protektor Polskiego Związku Łowieckiego — przyjął drużynę strzelecką Polskiego Związku Łowieckiego, która odniosła piękne zwycięstwo na zawodach strzeleckich z Czechosłowacją w Jicinie.

W obecności Prezesa Polskiego Związku Łowieckiego — gen. dyw. prof. dr. Bolesława Szareckiego — Marszałek Polski przyjął Przewodniczącego Komitetu Wykonawczego Polskiego Związku Łowieckiego dr. Zbigniewa Korolkiewicza, Wiceprzewodniczącego Komitetu Wykonawczego — ob. Zbigniewa Kowalskiego, Przewodniczącego Komisji Głównej Strzelectwa Myśliwskiego — plk. Stanisława Łętowskiego oraz członków zwycięskiego zespołu: kol. kol. Romana Feilla, Józefa Kiszkurno, Kazimierza Zalewskiego i Wilhelma Ziegenhierta.

Marszałek Polski żywo interesował się przebiegiem zawodów i przywiezionymi nagrodami, składając zwycięskiej drużynie strzeleckiej życzenia dalszych owocnych sukcesów w dziedzinie strzelectwa myśliwskiego.





INŻ. ST. IHNATOWICZ

ZAWODY W ICZINIE

Stosunki łowieckie między Polską a Czechosłowacją przed wojną nie istniały. Panujący wówczas w Polsce reżim sanacyjno-faszystowski do tego nie dopuszczał, aby myśliwi obu bratnich narodów mogli ze sobą nawiązać normalną łączność sportowo-łowiecką. Było to wówczas wprost nie do pomyślenia. Dopiero druga wojna światowa, przynosząc w wyniku zdruzgotanie faszyzmu i hitleryzmu, obalając w obu naszych krajach panowanie kapitału, umożliwiając przejęcie pełni władzy przez proletariat w sojuszu z pracującym chłopstwem i inteligencją — stworzyła możliwość nawiązania stosunków przez Polski Związek Łowiecki z Czechosłowacką Myśliwiecką Jednotą (Cs. M. J.)

Zawody w strzelaniu do rzutków, które odbyły się w roku ubiegłym we Wrocławiu, w ramach Wystawy Ziem Odzyskanych, pozwoliły na zapoczątkowanie braterskiej współpracy z myśliwymi czechosłowackimi. Po raz pierwszy od wieków myśliwi polscy, czescy i słowaccy spotkali się w prastarym grodzie piastowskim, aby zmierzyć się w szlachetnym, bezkrwawym boju sportowym w ramach organizacji łowieckich.

To pierwsze spotkanie zadało kłam tej wrogiej szowinistyczno - faszystowskiej propagandzie, którą nas karmiono aż do obrzydzenia, że Czech i Słowak — to są nasi wrogowie, którzy czyhają na nasze ziemie ojczyste, na nasze domy rodzinne. To było kłamstwo, było to fałszowanie historii.

We Wrocławiu nasi zawodnicy przekonali się nie tylko o bardzo wysokim poziomie wyrobienia sportowo-strzeleckiego kolegów czechosłowackich, lecz ponad to nabrali przeświadczenia, że nasi sąsiedzi z poza Nysy — to są nasi dobrzy przyjaciele, ożywieni najlepszym duchem nie tylko koleżeństwa myśliwskiego, lecz również i braterskiej przyjaźni ogólnonarodowej.

We Wrocławiu staraliśmy się, jako gospodarze, godnie podejmować naszych gości, stworzyć atmosferę taką, aby się czuli u nas nie tylko jak w dobrej gościnie u uprzejmych gospodarzy, ale jak u dobrych przyjaciół, jak u siebie w domu. Czy to się nam udało — nie wiem. Niech o tym sąd wydadzą Koledzy Myśliwi Czechosłowaccy.

Natomiast wiem, co nas spotkało, jako drużynę strzelecką Polskiego Związku Łowieckiego, gdyśmy pojechali dn. 16 VIII 1949 r. na zawody do Iczina w Czechosłowacji. Od samej granicy witano nas nie jako zawodników, groźnych konkurentów, którzy przybywają po wawrzyny, lecz jako najserdeczniejszych braci-przyjaciół, na których przybycie długo, bardzo długo z utęsknieniem oczekiwano i każdego dnia wyglądano. Spotykali nas i witali na każdej stacji członkowie związku myśliwców czechosłowackich, witali kolejarze, robotnicy, publiczność. Każda stacja kolejowa była udekorowana sztandarami polskimi i czechosłowackimi, i girlandami z jedliny. Byliśmy naprawdę zaskoczeni tym powitaniem.

W Hradcu Kralovym podejmowano nas obiadem i tam zostaliśmy wprost oszołomieni gościnnością i tym honorem, jaki nam okazano. Na dworcu witał nas wicewojewoda tow. Stépan, przedstawiciel Ministra Rolnictwa, inż. tow. Vyleta, wiceprzewodniczący Cs. M. J. i prezes Czeskiego Związku Myśliwców, przedstawiciel miasta, komendant miasta, szef bezpieczeństwa, redaktor naczelny „Straż Myslivosti". Podczas obiadu powitała nas w imieniu sekretariatu Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Czechosłowackiej — posłanka, tow. Trojanowa.

Nasza skromna drużyna strzelecka w najbujniejszej wyobraźni nie mogła przypuszczać nawet, aby najwyższy czynnik polityczny czechosłowacki — Partia Komunistyczna — zechciała na nasze powitanie wysłać swego przedstawiciela. Ten jeden fakt dowodnie świadczy, że witano nas, podejmowano i goszczono nie jako najlepszych przyjaciół — braci, którzy przybywają nie z za granicy państwowej, lecz oto wprost przekraczają swój próg domowy, aby przeszedłszy przez obejście gospodarskie, wkroczyć w progi swego brata - sąsiada dla spędzenia, w chwili wolnej od pracy, kilku miłych godzin na wspólnej, przyjacielskiej pogawędce, odpoczynku i godziwej sportowej zabawie.

Lecz i to nie wyczerpuje głębi tego serca i tej przyjaźni, którą nam przez cały czas pobytu okazywano. Pomijając, że nasza drużyna po ciężkim emocjonującym boju — wygrała

i zespołowo i indywidualnie zawody, zdobywając niezwykle cenne nagrody, muszę podkreślić, że nadto zostaliśmy i jako Związek i indywidualnie obdarzeni tak wspaniałymi prezentami, że przez długie lata historia łowieckich stosunków polsko-czechosłowackich będzie o tym wspominać. Zrozumiałe jest, że w takiej atmosferze nie mogły powstać żadne zgrzyty i nieporozumienia. Istotnie — tego nie było. Sędziowanie i punktowanie na zawodach prowadzone przez kolegów z Cs. M. J. było bez zarzutu. Główny sędzia, tow. Nowotny, wykazał tyle umiejętności, taktu, wyrozumienia, cierpliwości oraz nieposzlakowanej bezstronności, że może służyć za wzór każdemu. I cóż mam więcej pisać o zawodach w Iczinie? Że były dobre, że udały się pod każdym względem, że przyniosły wspaniałe wyniki w postaci pogłębienia i wzmocnienia naszych przyjaznych, braterskich stosunków na polu łowiectwa — ależ cały czas o tym mówię.

Chciałbym zakończyć tym, że cała nasza drużyna jest jednomyślna w swej opinii o zawodach w Iczinie i uważa za swój punkt honoru uczynić wszystko, aby godnie sprostać uprzejmości, gościnności, bratersko-przyjacielskiej serdeczności — jakiej doznała ze strony braci - kolegów myśliwców czechosłowackich i móc się im zrewanżować w najkrótszym czasie na zawodach w Warszawie.

Cześć Cs. M. J. Lovu a lesu zdar!

×

Historia stosunków polsko - czeskich pełna jest załamań, dygresji, nierówności. Dzisiaj jasno sobie zdajemy sprawę z tych ukrytych sprężyn tego mechanizmu, który na szlaku dziejowym obu państw i narodów stale doprowadzał do ciągłych nieporozumień, tarć i wrogości. Mimo niejednokrotnych wysiłków ludzi, przenikliwiej i głębiej patrzących w przyszłość ze strony obu narodów, wysiłków, zmierzających do ustalenia trwałego porozumienia i sojuszu między Polską szlachecką a Królestwem Czeskim — nigdy do tego nie doszło. Jednym z najwcześniejszych porywów wolnościowych w Środkowej Europie było powstanie chłopów i części mieszczaństwa w Czechach pod wodzą Żyżki i Husa. Niestety, nie znalazło ono dostatecznego poparcia we własnym kraju. ani w ościennych krajach słowiańskich. Nieliczna pomoc, udzielona przez niektórych panów polskich ściągnęła na ich głowy banicję i prześladowania, powzięte na wyraźne żądanie ówczesnego papieża. Wkrótce potem nastąpiła bitwa pod Białą-Górą, która przekreśliła niepodległość Królestwa Czeskiego, oddając go na łup cesarzy niemieckich. Niedobitki szlachty czeskiej bardzo rychło pogodziły się z niewolą narodową, poszły po linii najmniejszego oporu. zdradziły własny naród, wyparły się narodowości i stały się najgorliwszymi i najokrutniejszymi wykonawcami polityki germanizacyjnej oraz klasowego ucisku i wyzysku mas pracujących.

Mimo blisko 600-letniej niewoli germańskiej i niesłychanego wyzysku, czeski i słowacki chłop, rzemieślnik, robotnik zachowali swą narodowość i nie dali się złamać.

Byliśmy świadkami narodowego odrodzenia Czechów i Słowaków, które od połowy XIX wieku w szybkim tempie obejmowało coraz szersze kręgi i stale wznosiło się coraz wyżej i wyżej. Odradzał się naród czeski i słowacki z całą siłą młodej prężności. Doświadczony okrutnie w wiekowej niewoli narodowej i gospodarczej — jeden z pierwszych w swej masie zrozumiał lekcję historii i stał się gorliwym zwolennikiem jedności słowiańskiej, dobrze rozumiejąc, że w jedności jest siła potężna, która jedynie może ich i pobratymcze narody uchronić i zabezpieczyć przed zagładą oraz zapewnić im swobodny rozwój w przyszłości.

Innymi nieco torami potoczyły się dzieje narodu polskiego. Choć utrzymał dłużej swą niezależność państwową, lecz również uległ naporowi fali germańskiej, wspieranej stale, wiernie i gorliwie przez wieki, aż do dnia dzisiejszego, przez politykę i akcję bezpośrednią Watykanu. O ile walka klasowa w Czechosłowacji ściśle się splatała z walką narodową, gdyż ich szlachta i magnaci prawie całkowicie wyginęli pod Białą Górą, a miejsce ich zajął żywioł obcy, napływowy, o tyle u nas magnaci i szlachta zachowały się w całości, skutkiem czego stosunki społeczne były bardziej skomplikowane, a walka o wyzwolenie społeczne i narodowe o wiele trudniejsza.

Gdy rozwój historyczny, genialnie przewidziany przez Marksa i Lenina, doprowadził do zwycięskiej socjalistycznej rewolucji w pań-

stwie białego cara, przynosząc wyzwolenie wszystkim narodom byłego imperium rosyjskiego, przed narodem polskim oraz czeskim i słowackim również szeroko otwarte zostały wrota do wolności, do odzyskania samodzielnego, niepodległego bytu narodowo-państwowego. Nie jednakowo przygotowani stanęliśmy do tej wolności. Naród czeski i słowacki od razu zrozumiał znaczenie historyczne Związku Radzieckiego i w swej olbrzymio przytłaczającej większości wypowiedział się za nawiązaniem i utrzymaniem z nim stałych przyjaznych stosunków.

Chłop, robotnik, inteligent czeski i słowacki zdawali sobie dobrze sprawę, że jedynym realnym, niepodejrzanym gwarantem niepodległości może być tylko Związek Socjalistycznych Republik Rad.

U nas ta sprawa przybrała inny obrót. Wsparte przez międzynarodową reakcję obszarnictwo i kapitaliści polscy dorwali się do władzy i pod batutą sprzedajnej bandy sanacyjno-faszystowskiej zaprzedawali własny kraj i naród historycznym wrogom imienia polskiego — germanizmowi i Watykanowi.

Dziś ze wszystkimi szczegółami znane są nam dzieje niepodległości międzywojennego okresu i rola, jaką spełniła w tym okresie polska burżuazja wraz z jej pomocnikami spod znaku pseudo-demokratów i pseudo-socjalistów.

Po raz drugi polski naród odzyskuje niepodległość dzięki zwycięstwu Rewolucji Socjalistycznej, dzięki rozgromieniu potężnych sił militarnych światowego faszyzmu, który pod wodzą ludobójcy Hitlera ruszył na podbój świata.

Historyczne zwycięstwo Związku Radzieckiego, obnażenie wszystkich zabiegów i machinacji zakulisowych tzw. sojuszników zachodnich, rzekomych „demokratów" — otwarzyło oczy wszystkim ludziom dobrej woli, narodom miłującym pokój — na treść i sens dziejowych zdarzeń, których jesteśmy nie tylko świadkami, lecz również uczestnikami i współautorami.

Na tle tak rozumianego biegu wypadków; na tle istotnego zrozumienia roli i znaczenia zwycięskiej Rewolucji Socjalistycznej, uosobionej w Związku Radzieckim — jasno i wyraźnie już się nie zarysowuje lecz jest wykutą ta szeroka droga, po której należy iść stale, uparcie i bez wahań, aby osiągnąć pełnię zwycięstwa — zagwarantowanie światowego pokoju i wolnego, pełnego życia narodowego.

Ci, którzy są prawymi twórcami życia, ci, którzy są rzeczywistymi budowniczymi wszystkich zdobyczy gospodarczych, technicznych, naukowych, kulturalnych — robotnik, chłop, inteligent pracujący, trzymają dziś mocno ster nawy ogólno-narodowej. W ten powszechny nurt pracy twórczej, wyczarowujący cuda budownictwa i wytwórczości, wchodzi i musi wejść aktywnie Polski Związek Łowiecki.

Jego wysiłki, jego praca musi również ogarnąć nawiązanie właściwych stosunków ze wszystkimi krajami demokratycznymi, szczerze idącymi po drodze pokoju i twórczej pokojowej pracy, a przede wszystkim z państwami Demokracji Ludowej, na czele ze Związkiem Radzieckim.

Republika Czechosłowacka, gdzie rządzi robotnik i chłop pod przewodem przodującej awangardy obu narodów — Komunistycznej Partii, jest przeto nam droga, a stosunki z organizacją łowiecką czechosłowacką jeszcze tym bardziej są nam drogie, że reprezentuje ona na swym odcinku bratnie słowiańskie narody — czeski i słowacki. Pogłębianie, rozszerzanie i umocnianie tych stosunków w duchu braterstwa i przyjaźni, z jakim spotkaliśmy się na zawodach w Iczinie — jest naszym obowiązkiem w dobrze zrozumianym obopólnym interesie.

Inż. St. Ihnatowicz

PRZYJAŹŃ NARODÓW SŁOWIAŃSKICH — GWARANCJĄ POKOJU

ZBIGNIEW KOWALSKI

Po złote runo do Czechosłowacji

STACJA GRANICZNA LICHKOV

Balt Orient Express pnie się mozolnie krętą przesieką przez zielony, mokry od wilgoci las ku szczytom, potem grzmi i łomocze w czarnym od sadzy, mrocznym jak noc, tunelu.

To już przełęcz. A zaraz za przełęczą mijamy noga za nogą granicę, znaczoną ciosanym z gruba głazem oraz sylwetką WOP-isty w zielonej pelerynie i z szarym wilczurem przy nodze.

Parowóz oddycha głęboko, z ulgą i zaczynamy się staczać coraz szybciej i szybciej doliną Orlicy ku żyznej, podgórskiej ziemi czechosłowackiej.

Uciekają coraz dalej i coraz wyżej, dymiące chmurami, błękitnawe szczyty górskie. Coraz więcej zielonkawych, wypielęgnowanych łąk i polnych enklaw wdziera się w jednolite gęszczary głębokich lasów.

Na jednej z hal zn tkwi, wpatrzony w przebiegające wagony, nieruchomy, ze wzniesionym do góry wieńcem, podobny wykutemu z brązu posągowi, jeleń, witając nas myśliwych na ziemi słowackiej jak symbol.

Lasy kończą się nagle, niby nożem ucięte. Wzdłuż toru po kopulastych wzgórzach, biegną teraz łany buraczysk i kartoflisk, to znów, znaczone charakterystycznymi drabinkami do suszenia paszy, pola koniczyn i seradel. Często też towarzyszą nam zagony, stojących na pniu sczerniałych, nieżżętych jeszcze, jarych zbóż. W północnych Czechach bieżący rok jest rokiem wichru, deszczu i niepogody, tak jak i u nas. Na południu jest inaczej, ale o tym za parę godzin...

Dziś od świtu siąpi też uparty, nieustępliwy kapuśniaczek. Szczęśliwie, kiedy pociąg z szumem hamulców zwalnia i kiedy wyłaniają się spomiędzy bukietu lip niewielkie, żółtawe budynki stacyjne w Lichkovie, zaczyna się troszeczkę przejaśniać.

Pomimo słoty i wczesnej rannej godziny, wieloosobowa delegacja Ceskoslovenskej Mysliveckej Jednonoty oczekuje na peronie stacyjnym przybycia naszych zawodników. A kiedy Balt Orient Express wtacza się powoli na peron i z krótkim zgrzytem kół zatrzymuje się, dobiega uszu pobudka myśliwska. To gajowi z okolicznych nadleśnictw obwieszczają wysokimi tonami sygnałówek o pierwszym zetknięciu się myśliwych dwóch bratnich, słowiańskich narodów: czechosłowackiego i polskiego.

Chociaż straż celna w Międzylesiu powiadomiła kierownika wycieczki, kol. Ihnatowicza, że myśliwi czechosłowaccy oczekują nas w Lichkovie, nikt z członków polskiej ekipy nie spodziewał się, że w skład tej delegacji wchodzić będą najwyższe władze Ceskoslovenskej Mysliveckej Jednoty, i że jej ciężar gatunkowy będzie aż tak wielki. Na pięknie udekorowanym flagami narodowymi, świerczyną i transparantem *„Vitame Polske Myslivce“* peronie, wita nas bowiem oficjalny delegat: generał broni Benda, wiceprezes Ceskoslovenskej Mysliveckej Jednoty: inż. Jaroslav Vyleta, redaktor organu Związku „Straż Myslivosti“: Mila Pasa, sekretarz generalny Moravec oraz szereg członków zarządu głównego, jak również przedstawiciele oddziałów: wojewódzkiego i powiatowego. Wita nas również miejscowa administracja lasów państwowych.

Kruche i cienkie lody, pękają podczas pierwszego śniadania, które spożyliśmy wspólnie z kolegami myśliwymi czechosłowackimi w mieszkaniu zawiadowcy stacji Lichkov, zresztą myśliwego i członka Ceskoslovenskej Mysliveckej Jednoty.

„VITAME POLSKE MYSLIVCE“

Na dalszej trasie naszej podróży koleją, stacje Zamberk, Kostelno, Tyniste i inne, których nazw nie pamiętam, witają nas budynkami zdobnymi w emblematy państwowe i łowieckie. Czuję się więc po raz pierw-



Powitanie w Lichkovie
Fot. Z. Kowalski
Publiczność interesuje się żywo zawodami
Fot. J. Podlipny

gen. Benda
V-Prezes CMJ Vyleta z małżonką

szy trochę jak arcybiskup, przejeżdżający pod bramami tryumfalnymi z napisem: „Witaj Pasterzu".

Na każdej stacji oczekują naszego przyjazdu krzyczący gromko „Na zdar!" miejscowi myśliwi z zielonymi kołnierzami u cywilnych marynarek i kapelusikami, obwieszonymi dziesiątkiem znaczków łowieckich i pamiątek. Witają nas też żony naszych czeskich kolegów. Robimy zatem szybkie znajomości i jeszcze szybsze zdjęcia fotograficzne. Największe zaciekawienie wzbudza mistrz Kiszkurno, najwięcej oczek zerka w stronę wysokiej i zgrabnej sylwetki Feila.

Zauważyć muszę w tym miejscu, że bardzo wiele czeskich pań, szczególnie tu w podgórskiej, turystycznej okolicy, chodzi w spodniach. Spodnie te specjalnie ekscytują naszego mistrza Józefa, który prosi, by go uwiecznić na kliszy z trzech stron z pewną blondynką, której było na imię, o ile pamiętam, Vera. Czy tak kochany Józiu?

Hradec Kralove, będący końcem naszej podróży kolejowej, jest pięknym miastem. Ongiś forteca i cesarsko-królewski garnizon zamknięty murami cytadeli, dziś po rozsypaniu się wałów, skruszonych erozją dziejowych przemian, rozrósł się w piękne, o szerokich plantach i nowoczesnych fasadach, duże wojewódzkie miasto.

Tu też doznajemy wspaniałego przyjęcia, nie tylko przez organizacje łowieckie, ale przede wszystkim przez władze państwowe i partyjne. Przyjęcie to mówi, że nasza wycieczka stanowi nie tylko zwyczajne zawody strzeleckie, ale jest jednocześnie manifestacją przyjaźni i braterstwa czechosłowacko-polskiego.



Na powitalnym bankiecie są bowiem obecni: posłanka Sejmu Trojanova, miejscowy wojewoda Stepan, prezydent miasta i przedstawiciele Komunistycznej Partii Czechosłowacji. Na bankiecie tym każdy z członków naszej delegacji i drużyny otrzymuje też cenny dar w postaci srebrnej papierośnicy z emblematami Ceskoslovenskej Myslivecke] Jednoty i odpowiednim napisem.

Dalej do Jicina ruszamy pięknym autokarem o przepastnych fotelach i szklanym dachu. Autokar ten zresztą oddany jest do dyspozycji naszej ekipy na cały czas pobytu i wiernie towarzyszyć nam będzie przez cały tydzień czechosłowackich wczasów.

Wyjaśnia się zupełnie — jest słoneczny dzień. Ziemia na mijanych polach spękana jest od suszy i słońca, jak szarawy ił na pobrzeżu łach wiślanych w skwarne popołudnie. Rolnicy skarżą się tu na klęskę posuchy, podczas gdy o miedzę stąd w górach widzieliśmy jeszcze dziś rano klęskę deszczu.

DLACZEGO JICIN?

Już w Warszawie zastanawialiśmy się dlaczego zawody mają się odbyć w Jicinie. Dlaczego nie w Pradze, Brnie czy Luchacovicach, ale właśnie w Jicinie?

Dopiero, kiedy następnego dnia w chłodny, rześki poranek wyszedłem przed hotel i stanąłem zachwycony starymi wąskimi domkami na rynku, wilgotną studnią wśród drzew i kwadratową, dostojną wieżą, podobną niezmiernie do Floriańskiej i kiedy później wyjechałem parę kilometrów za miasto do Prahovskich Skal, będących jakby zwielokrotnionym krajobrazem Ojcowa, zrozumiałem...

Jicin jest bowiem najpiękniejszym zakątkiem ziemi czechosłowackiej i zwie się w potocznej mowie „czeskim rajem". Rzeczywiście kraj ten w dolinach mlekiem i miodem płynący, w górach podbijający serca urwistymi skałami, gonnymi lasami, mrocznymi grotami i jarami, piękny jest nieskończenie. Toteż okolice Jicina były ulubionymi miejscami odpoczynku prezydentów Czechosłowacji: Masaryka i Benesza, o czym co krok przypominają tablice i odpowiednie napisy.

Wielka to więc ze strony naszych gospodarzy subtelność, aby obok zawodów pokazać nam jeszcze urok swojego kraju, urok, o którym tak pięknie śpiewa czechosłowacki hymn narodowy: „Kde domouv moj".

Fot. Z. Kowalski

Strzelnica w Jicinie, w przeciwieństwie do pokrytych patyną lat murów miasta, a szczególnie do ukrytego w drzewach, leżącego tuż obok standu, zżółkłego od starości pałacu Wallensteina, stanowi ostatni wyraz techniki.

Położona na ostrym stoku, otoczona biegnącymi amfiteatralnie ku górze trybunami, strzelająca flagowymi masztami pod niebo, z widokiem na pasmo gór, zamykające horyzont — jest jedną z piękniejszych w Europie. Jest ona też jedną z trudniejszych w Europie, a trudności te stwarza samo położenie strzelnicy. Bowiem tło dalekich gór, pokrytych błękitnymi lasami i poprzecinanych szachownicą pól, ciągle zmienia się i myli oko, zależnie od oświetlenia i cieni, rzucanych przez chmury, wędrujące po niebie. Również talerzyki wyrzucane ze stoku w głęboką dolinę, kołysane wstępującymi i zstępującymi wiatrami chybocą się jak szybowce, podskakują zupełnie niespodziewanie na swej balistycznej krzywej ku górze, to znów ku dołowi.

Toteż ciężkie i nowe warunki treningu wytrącają zupełnie z równowagi naszych zawodników. Feil strzela 71 na 100, Kiszkurno 69 na 100. Najlepszy jest kolega Zaleski 88 na 100. Wszystkie te wyniki są jednak mocno poniżej normalnie uzyskiwanych przez naszych zawodników.

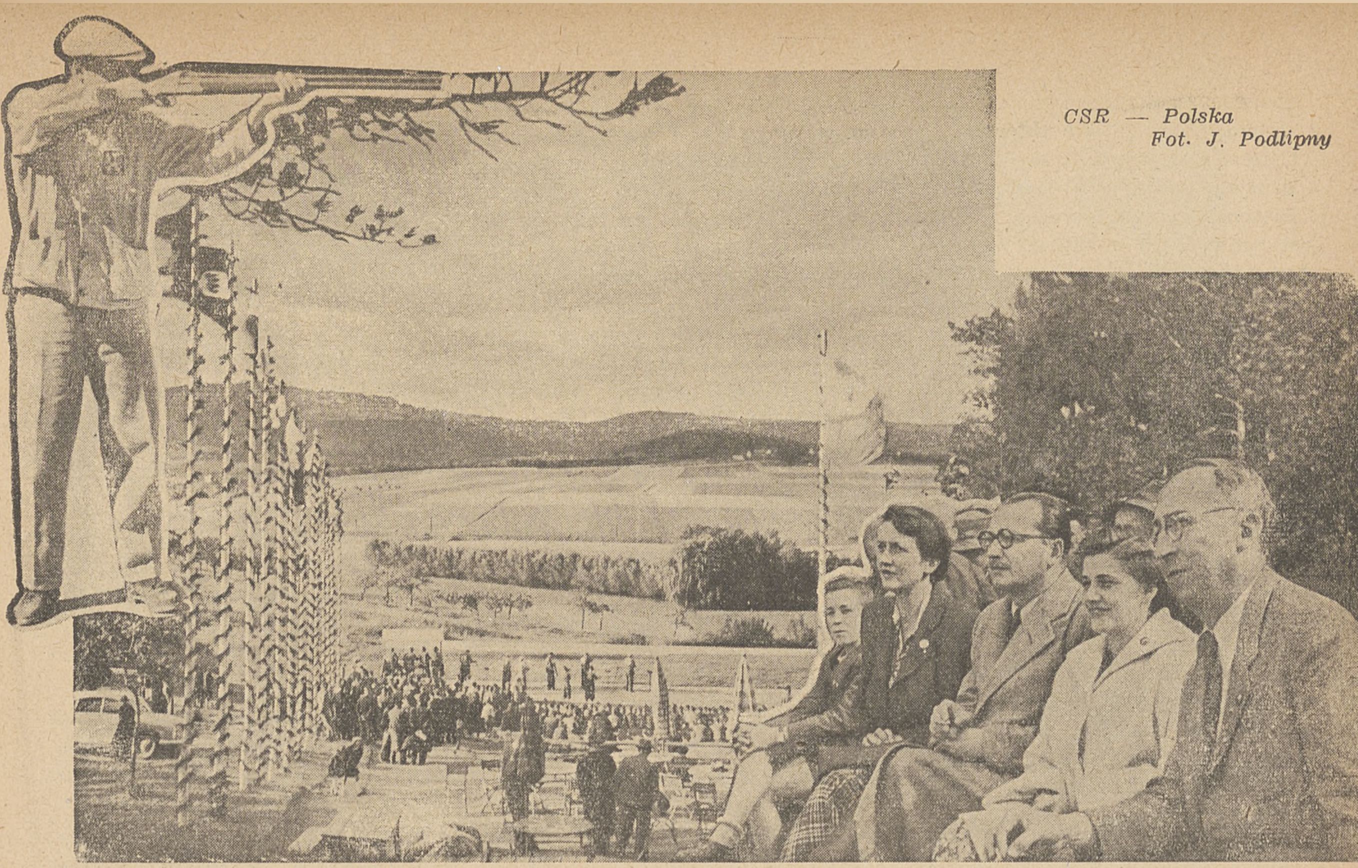
O dniu zawodów myślimy więc z prawdziwym strachem. Kartki, wysyłane do Polski, piszę nader pesymistyczne, przygotowując z lekka kolegów, oczekujących z niecierpliwością wieści w Warszawie, do przegranej.

Ostatni wieczór przed zawodami spędzamy w kniei na podchodzie rogacza. Niestety, jeden tylko kolega Zaleski zdobywa ładne i uperlone parostki. Inni strzelają bez powodzenia, większość nie ma w ogóle spotkania. Nic w tym zresztą dziwnego, czas bowiem bezpośrednio po rui jest na polowanie i spotkanie z kozłem zdecydowanie niekorzystny.

C. S. R. — POLSKA
Jicin 20 — 21 VIII 1949 r.

Od rana piękna, słoneczna i ciepła pogoda. Wiatr drga ledwo w koronach drzew. Niebo błękitnieje przepastnym lazurem.

Punktualnie o godzinie czwartej obie nasze drużyny w komplecie ustawiają się półkolem na oślepiająco



CSR — Polska
Fot. J. Podlipny

białym betonie standu. Skład drużyny czechosłowackiej jest następujący: kapitan drużyny Michera Radoslav oraz zawodnicy: Fost Józef, Kuba Alois, Kupec Jan, Miksik Jan, Nebzensky Milos, Papezik Milos. Skład drużyny polskiej: kapitan Korolkiewicz Zbigniew oraz zawodnicy: Czerski Stanisław, Feill Roman, Jeziorowski Witold, Kiszkurno Józef, Kiszkurno Zygmunt, Zaleski Kazimierz i Ziegenhierte Wilhelm. Kierownictwo całości zawodów ma w swych rękach inż. J. Drimal, funkcję sędziów pełnią koledzy: Novotny (C. S. R) i Kowalski (P.).

Na honorowej trybunie zasiadają przedstawiciele: Ministra Rolnictwa Julia Durise: inż. J. Vyleta, przedstawiciel Ministra Informacji Kopeckiego: dr. Benda, przedstawiciel Wojewódzkiej Komunistycznej Partii Czechosłowackiej: Synek, I sekretarz Ambasady R. P. w Pradze dr Przezwański, przedstawiciel Polskiego Związku Łowieckiego inż. Stanisław Ihnatowicz oraz szereg innych osób oficjalnych, kierownik zawodów inż. Drimal, gospodarz strzelnicy łowczy powiatowy w Jicinie Fisera.

Po odegraniu hymnów narodowych, wciągnięciu flag na maszty następuje wręczenie wzajemnych upominków — Ceskoslovenska Myslivecka Jednota otrzymała od Polskiego Związku Łowieckiego statuę żubra z brązu, a od Spółdzielni Jedność Łowiecka statuę łosia z brązu, a Polski Związek Łowiecki od Ceskoslovenskej Mysliveckej Jednoty obraz o tematyce łowieckiej. Po długim szeregu oficjalnych przemówień zawodnicy oddają po 10 próbnych strzałów, a wreszcie o godz. 17.30 rozpoczynają się właściwe zawody.

Regulamin zawodów przewiduje strzelanie do 200 rzutków po 100 dziennie, seriami po 10, 4 × 20 i 10.

Pod ciekawym okiem trzech aparatów filmowych rozpoczyna zawody, oznaczony numerem pierwszym, kol. Witold Jeziorowski, na dobrą wróżbę rozpoczyna rozbitym w proszek „asfaltovym holubem".

Pierwsze pięćdziesiąt odstrzelonych rzutków daje pewną przewagę drużynie polskiej. Bezkonkurencyjnie prowadzi kol Zaleski, mając 47 rozbitych na 50 możliwych rzutków.

Zdawało się, że pomimo pesymistycznych przewidywań, wszystko pójdzie jak najlepiej. Tymczasem... Tymczasem wieczór nadchodzi coraz szybszymi krokami. Na stand kładzie się czarny cień, górującego nad strzelnicą od zachodu szczytu. Poza tym chmury zaczynają zaściełać niebo. Talerzyki na tle mrocznych wschodnich stoków górskich stają się po wyrzuceniu prawie niewidoczne. Zresztą nie tylko zawodnicy mają trudności w wypatrzeniu rzutków, ale i ja, sędziując, muszę dobrze wytężać wzrok, by zobaczyć czy od biało-czarnego krążka odskakuje odbity śrutem odprysk czy też rzutek leci dalej nienaruszony.

Sędzia Novotny ma podobne kłopoty toteż czasem decyzja kończy się zabawnym nieporozumieniem.

— Jak decydujecie? — pyta mnie Novotny.

— Chyba trafiony — odpowiadam.

— Hyba! (co znaczy po czesku chybiony) — woła sędzia i jednocześnie rozlega się klakson oznajmiający o pudle.

Ostatnia seria 10 rzutków strzelana jest kolejno przez dwóch zawodników z 2 i 4 stanowiska, przy czym rzutki puszczane są ze wszystkich 15 maszyn.

Jest już mrok kompletny. Nasi zawodnicy strzelają w tej trudnej konkurencji źle.

O godz. 19.55 sędzia Novotny odgwizduje koniec strzelania.

Ogólna punktacja po pierwszym dniu zawodów wygląda następująco:

Drużyna czeska

1.	Nebzensky Milos	87 pkt
2.	Michera Radoslav	86 „
3.	Fost Józef	83 „
4.	Miksik Jan	83 „
5.	Papezik Milos	75 „
6.	Kuba Alois	72 „
7.	Kupec Jan	68 „

Drużyna polska

1.	Feill Roman	85 pkt.
2.	Ziegenhierte Wilhelm	82 „
3.	Kiszkurno Józef	81 „
4.	Zaleski Kazimierz	78 „
5.	Jeziorowski Witold	78 „
6.	Czerski Stanisław	77 „
7.	Kiszkurno Zygmunt	68 „

Czterech najlepszych zawodników z drużyny czeskiej *339 punktów.*

Czterech najlepszych zawodników z drużyny polskiej *326 punktów.*

Drużyna czechosłowacka lepsza jest zatem o 13 punktów. Różnica, choć zdawałoby się na oko niewielka, wydaje się być już w drugim dniu niemożliwa do odrobienia.

Toteż wieczorem po powrocie do hotelu nastrój naszej drużyny jest zdecydowanie podły. Optymizm podtrzymuje jednak kapitan drużyny Korolkiewicz, żartując i przypominając wiele niespodzianek, załamań nerwowych i nagłego podniesienia formy, jakie zdarzają się na zawodach. Wspomnienia i żarty z rozgrywanych zawodów zaczynają się sypać jak z rękawa. Zawodnicy idą spać z nową chęcią do walki i wiarą w zwycięstwo.

Pogoda w niedzielę 21 sierpnia jest przepiękna, zapowiada się upalny dzień.

Tym razem zawody rozpoczynają się punktualnie o godzinie 10. Trybuny zapełnione są szczelnie publicznością, widać bardzo wielu umundurowanych leśników, wojskowych i kolejarzy. Podkreślić w tym miejscu należy zachowanie się publiczności, która rzęsistymi brawami nagradza piękne strzały polskich zawodników, która umie ocenić grę fair, która nie wie, co to znaczy gwizdanie lub okrzyki „Sędzia kalosz".

Zaznaczam, że to ostatnie nie jest bynajmniej usprawiedliwieniem samego siebie.

Zachowanie się publiczności jest tym bardziej godne podkreślenia, że drużyna czechosłowacka już w drugiej serii zaczęła powoli oddawać ciężko zarobione punkty w pierwszym dniu zawodów. W pierwszej pięćdziesiątce z 13 straconych punktów nasi strzelcy zdołali odebrać 7.

A w następnych seriach nasze stare lwy standowe: Kiszkurno, Zaleski i Ziegenhierte zaczynają coraz bardziej odzyskiwać formę. Feill serię po serii kończy z wynikami 19 na 20, 20 na 20, 19 na 20, wybijając się tym samym zdecydowanie na pierwsze miejsce.

Ostateczne szanse naszej ekipy podnoszą się tak dalece, że Feill może wygrać zawody nawet w tym wypadku, jeżeli w ostatniej dziesiątce zrobi 5 pudeł. Ale zacięty ten i twardy zawodnik robi tylko jedno, zwyciężając indywidualnie następnego zawodnika Micherę (C. S. R.) w wysokim stosunku 6 punktów. Kol Feill uzyskał drugiego dnia 90 rozbitych rzutków na 100 możliwych. a więc w ciągu obu dni łącznie 175 na 200. Zaznaczyć przytym należy, że 90 na 100 stanowi rekord tej tak trudnej strzelnicy w Jicinie.

Oklaski na cześć zwycięzcy długo nie milkły, długi też ogonek, ściskających Romana kolegów, nie mógł się skończyć. Zresztą nie tylko koledzy ściskali go serdecznie, kilka pań przeskoczyło też barierę, oddzielającą stand od trybun, by wycałować zwycięzcę. Znający Romka Feilla nie będą się zresztą temu specjalnie dziwili.

Ostateczna punktacja wyglądała następująco:

Drużyna czeska

1.	Michera Radoslav	169 pkt.
2.	Nebzensky Milos	168 „
3.	Fost Józef	166 „
4.	Papezik Milos	161 „
	Razem	664 pkt.

Drużyna polska

1.	Feill Roman	175 pkt.
2.	Kiszkurno Józef	168 „
3.	Ziegenhierte Wilhelm	165 „
3.	Zaleski Kazimierz	164 „
	Razem	672 pkt

Startujący poza drużyną koledzy uzyskali wyniki jak następuje:

5.	Miksik Jan	159 pkt.
6.	Kupiec Jan	154 „
7.	Kuba Alois	139 „

5.	Jeziorowski Witold	153 pkt.
6.	Czerski Stanisław	149 „
7.	Kiszkurno Zygmunt	148 „

Drużyna nasza zwyciężyła zatem *8 punktami.*

W czasie przerwy obiadowej odbyły się w konkurencji krajowej zawody o mistrzostwo miasta Jicina. w których zwyciężył kol. Fisera.

Ponieważ do rozdania nagród, wyznaczonego na godzinę 16, pozostało jeszcze sporo czasu, rozegrane



Wręczenie nagrody głównej pucharu kap. drużyny polskiej
Fot. Z. Kowalski



Drużyna polska, która zdobyła mistrzostwo, u góry. Od lewej: Feill Zaleski, Kiszkurno, Ziegenhierte.
Fot. J. Podlipny

zostało przez reprezentacyjne ekipy tak zwane strzelanie „poul", to znaczy do drugiego chybionego strzału, przy czym zawodnicy strzelali kolejno do krążka wypuszczonego z jednej i tej samej maszyny.

Zawody te podobały się ogromnie publiczności, szczególnie przypadł jej do gustu ten moment, gdy zawodnik, po zrobieniu pierwszego pudła musiał dla ułatwienia sędziom kontroli, przekręcić kapelusz tyłem do przodu. A już wręcz huraganowymi oklaskami nagrodzono drugie pudło Feilla i zejście jego ze standu.

W ostatecznej, emocjonującej rozgrywce pozostało na placu 5 Czechów i nasz olimpijczyk Józef Kiszkurno, który wygrał „poul" w cuglach.

Po serii nader długich przemówień oficjalnych i wygłoszeniu kilku słów przez radio przez zwycięzców, tj. kol. Romana Feilla, Radoslava Micherę i Józefa Kiszkurno, nastąpiło rozdanie nagród.

Drużyna polska i poszczególni zawodnicy zdobyli następujące nagrody:

Nagroda honorowa Ministra Informacji Kopeckiego dla zwycięskiej ekipy — puchar.

Nagroda Ceskoslovenskej Mysliveckej Jednoty dla zwycięskiej ekipy — puchar.

Za I miejsce indywidualne kol. Roman Feill — nagroda Ministra Spraw Wewnętrznych Noska — rogacz z brązu.

Za III miejsce indywidualne kol. Kiszkurno Józef — obraz — nagroda Ceskoslovenskej Mysliveckej Jednoty.

Pierwszy najlepszy zawodnik polski kol. Roman Feill — sztucer z lunetą i futerałem — nagroda Ceskoslovenskej Mysliveckej Jednoty.

Drugi zawodnik polski kol. Józef Kiszkurno — pistolet pozłacany — nagroda Spółdzielni „Lovena".

Trzeci zawodnik polski kol. Ziegenhierte Wilhelm—karafka oprawna w rogi — nagroda Generalnego Dyrektora Gospodarstw Rolnych Smakowskiego.

Ponadto kol. Roman Feill, jako najlepszy Polak w pierwszym dniu zawodów, otrzymał nagrody: Redakcja „Straży Myšlivisti" — karabinek oraz obraz „Bażanty" — nagrodę Ceskoslovenskej Mysliveckej Jednoty.

Kol. Józef Kiszkurno za wygranie „poul" — obraz myśliwski.

Drużyna czeska zdobyła II nagrodę zespołową — puchar srebrny Polskiego Związku Łowieckiego.

II nagrodę indywidualną — obraz — ofiarowany przez Ceskoslovenską Mysliveckę Jednotę i paterę Polskiego Związku Łowieckiego, otrzymał kol. Radoslav Michera.



Fot. J. Podlipny

Obraz i puchar Ministra Rolnictwa J. Durise — za najlepszy wynik pierwszego dnia zawodów otrzymał kol. Milos Nebzensky.

O godz. 17.30 kierownik zawodów, kol. inż. Ladislav Drimal, zamknął oficjalnie zawody.

Do wieczora jednak siedzieliśmy jeszcze na standzie, zabawiając się strzelaniem do biegnących na kółkach zajęcy, które znaczą otrzymanie dobrych śrutów fiknięciem zupełnie prawidłowego koziołka, to znów do rzutków, wypuszczanych wprost na strzelca z wysokiej 20 m wieży, a będących świetną zaprawą w strzelaniu do bażantów.

Szczyt góry przykrył znów czarnym cieniem stand i trybuny, kiedy zaczęliśmy się wreszcie ładować do naszego autokaru.

Podczas przyjęcia, które nastąpiło po zawodach, koledzy czechosłowaccy zostali odznaczeni nadanymi specjalnie przez Kapitułę Odznaczeń Łowieckich Polskiego Związku Łowieckiego medalami. Medale te wręczył odznaczonym w imieniu Komitetu Wykonawczego kol. Zbigniew Korolkiewicz. Złote — prezesowi, inż. Jaroslavovi Vylecie oraz referentowi strzeleckiemu Ceskoslovenskej Mysliveckej Jednoty, inż. Ladislavovi Drimalovi; srebrne — zawodnikom: Kuba Alo'sovi, Kupec Janovi, Michera Radoslavovi, Miksik Janovi, Nebzensky Milosovi i Stoupa.

Jednego tylko kol. Forta Józefa nie mógł kol. Korolkiewicz udekorować osobiście, gdyż czołowy ten strzelec czechosłowacki dostał w końcu pierwszego dnia zawodów ataku ślepej kiszki. Trzeba tu z naciskiem podkreślić hart i wolę walki kol. Forta, 52-letniego zawodnika który pomimo skręcających go bólów, dotrwał do końca zawodów i to uzyskując w ciągu obu dni doskonały wynik po 83 rozbite rzutki na 100 możliwych.

Odznaczeni, jak zauważyliśmy, byli serdecznie wzruszeni pamięcią o nich i otrzymanymi medalami

Parę słów o czechosłowackim łowiectwie

Specjalnie serdecznie opiekował się nami, nie odstępując prawie polskiej ekipy, redaktor „Straż Myslivosti" Mila Pasa. Z nim też przeprowadziłem krótki wywiad o łowiectwie czechosłowackim, który pozwolę sobie podać poniżej:

— Czy macie nową ustawę łowiecką, kolego redaktorze?

— Tak jest. Obowiązuje ona od zeszłego roku. Zasadą, na której ustawa ta została opracowana, jest włączenie łowiectwa do planu pięcioletniego, jako jednej z poważnych gałęzi gospodarki narodowej. Hodowla zwierzyny łownej jest przymusowa a odstrzał dokonywany być musi ściśle według opracowanego i zatwierdzonego planu. Planu tego przekroczyć w żadnym wypadku nie wolno. Tereny łowieckie wydzierżawiane są z wolnej ręki lub użytkowane we własnym zarządzie, przy czym powierzchnia najmniejszego obwodu wynosi 250 ha, zaś obszar przeznaczony do opolowywania dla jednego myśliwego musi posiadać co najmniej 100 do 150 ha, w zależności od okolic kraju.

— A jaka jest wysokość odstrzału zwierzyny łownej w całym państwie?

— Jeleni odstrzeliliśmy w ostatnim roku 3.500 sztuk, danieli 4.000, sarn 40.000, lisów też 40.000, kuropatew 600.000, bażantów 500.000, zajęcy 1.000.000, poważną też ilość kaczek, cietrzewi i innego ptactwa łownego. W końcu pięciolatki przewidujemy, że odstrzały tę będą kilkakrotnie wyższe

— Czy nasilenie zwierzyną jest wszędzie jednakowe?

— Nie. Toteż ustawa przewiduje odłów zwierzyny dla transplantacji jej na tereny uboższe, a w niektórych wypadkach również na eksport.

— A jak wygląda liczebność Ceskoslovenskej Mysliveckej Jednoty?

— Członków mamy około 115.000, przy czym w Czechach i na Morawach działa Ceskoslovenska Myslivecka Jednota, a w Słowacji Svaz Polovnickych Spolkou. Składka roczna wynosi 300 kc plus 50 kc na strzelectwo myśliwskie. Obecnie czynna jest Centrala Związków, mieszcząca się w Pradze.

— A ile macie w kraju strzelnic?

— Około 40, ale plan pięcioletni przewiduje dalszą rozbudowę strzelnic i doprowadzenie do takiego ich zagęszczenia, aby w każdym powiecie znajdowała się chociaż jedna. Jest to niezbędne, gdyż w tej chwili trenuje już na naszych standach około 3.000 zawodników.

— A jak jest z amunicją do treningów?

— Dajemy ją strzelającym darmo.

Całe szczęście, że kolega redaktor Pasa nie zaczął mnie równie dokładnie wypytywać o nasze stosunki łowieckie, gdyż musiałbym się z lekka zaczerwienić, wyjaśniając, że projekt nowej ustawy łowieckiej ciągle jeszcze tuła się po ministerstwach. że transplantacja zwierzyny nie ruszyła ani krokiem z miejsca, że strzelectwo sportowe jest w powijakach, a cena jednego śrutowego naboju myśliwskiego (long), który



Red. „Straż Myśliwosti" Mila Pasa
Fot. Z. Kowalski

ma być wystrzelony na strzelnicy, wynosi *65 złotych.*

NA KUROPATWY W KOPITLNIE

Po czterech dniach pobytu, zamiast porozumiewać się z naszymi gospodarzami coraz łatwiej, zaczynamy się wzajemnie nie rozumieć.

Winni temu stanowi rzeczy jesteśmy sami, z powodu bardzo wysokiego mniemania o narodowych zdolnościach lingwistycznych, jakie w każdym z nas drzemią. Toteż dokąd mówiliśmy zwyczajnie po polsku, czescy koledzy rozumieli nas doskonale, odkąd jednak przerzuciliśmy się na pseudo czeski volapük, używając „el" zamiast „eł", wyrzucając ze słów samogłoski i kładąc akcent na nieprawdopodobnych zupełnie sylabach, czescy koledzy przestali się całkowicie orientować o co nam właściwie chodzi.

— Kolego, nĕmalo dzś kropatv strelimy?!

— ? — zapytywany milczy.

— Zdaje się, kolego, że strzelimy dziś niemało kuropatw.

— Ano, ano. Przewidujemy pięćset sztuk do odbicia.

Po następnych dwóch zdaniach przerzucamy się znów na zczeszczoną polszczyznę i znów nie możemy się ani rusz dogadać.

Przyznam się szczerze, że jeszcze przez parę dni po powrocie łapałem się na akcentowaniu słów po czesku.

Niewiele pomylił się nasz informator, co do rezultatów polowania: w przeciągu niecałych 3 godzin 18 myśliwych strzeliło i podniosło 587 (słownie: pięćset osiemdziesiąt siedem) kuropatew. Specjalnie podnoszę, że „strzeliło i podniosło", gdyż przy każdej strąconej, a nie podniesionej sztuce, kierownik polowania Vitek zatrzymywał ławę i dopóki towarzyszący nam myśliwi czescy z psami (sami zresztą pomimo przewieszonych przez ramię dubeltówek nie polujący) nie odnaleźli postrzałka, trwaliśmy w miejscu.

Polowanie na kuropatwy otwarte już jest na terenie Czechosłowacji z dniem 15 sierpnia — toteż małych, nie wyrośniętych „zielonek" widzieliśmy bardzo dużo. Strzał do nich był naturalnie wzbroniony, jak i do bażantów, których w spłachetkach kartofli i buraków spod nóg rwało się nam więcej bodaj jeszcze niż kuropatew. O zającach nie mówię, te kipiały spod co drugiego krzaka buraków i spod każdej niemal miedzy.

Chcę w tym miejscu podkreślić, że polowanie na kuropatwy odbywało się bynajmniej nie na jakichś reprezentacyjnych państwowych terenach, a na zaproszenie kółka łowieckiego w Kopitlnie na dzierżawionych chłopskich polach, kółka jakich setki istnieje na terenie Czechosłowacji.

Zaznaczam też, że teren do polowania w Kopitlnie jest dość trudny, mocno górzysty, zacieniony ogrodami, przecięty wszerz i wzdłuż siecią szos i linii kolejowych.

Wieczorem to samo kółko podejmowało polskich strzelców standowych wieczerzą. W przemiłym, przeplatanym pieśniami myśliwskimi, których ten tak miłujący muzykę i muzykalny naród ma paręset (poza „Siedzi sobie zając" i „Wśród opok i jarów" nie mogę sobie jakoś przypomnieć żadnych więcej naszych rodzimych łowieckich pieśni), zbiegło nam aż do późnego wieczoru.

Obładowani wiecznymi piórami z napisem „Bratrum Polakum" i butelkami miejscowego wina, już dobrze po północy wróciliśmy do Jicina.

MUFLON — CESKY ZVER

— Czy nie chciałby pan odstrzelić muflona? Mam specjalne pozwolenie Ministra Rolnictwa — zagadnął mnie niespodziewanie podczas któregoś obiadu prezes inż. Vyleta.

Za odpowiedź starczyła widocznie czerwona łuna, która zalała moją twarz, gdyż inżynier dodał:

— W takim razie wyjeżdżamy dziś nad wieczorem. Powiedzmy o szóstej.

— Będę gotów.

Rozmowa ta miała miejsce przed dwoma dniami. Dwa wieczory od tej chwili, uzbrojony w 5,6 mm Savage, pożyczony mi najuprzejmiej przez strzeleckiego mistrza Czechosłowacji, Nebzensky'ego, spędziłem w górach, w rewirze zwanym Zehrov - Obora. Widziałem wprawdzie muflonki, sarny i masę danieli, tryka, niestety, nie spotkałem ani jednego. Słyszałem tylko, jak oznajmiały mi to ostrym świstem mi to sójczym skrzekiem, że w lesie jest człowiek.

Dziś zatem jest już ostatnia szansa, jutro bowiem wracamy do Warszawy. Dziś więc jadę do Zehrov-Obory, po raz trzeci i ostatni.

Wyjaśnić w tym miejscu muszę zabawną grę słów czesko-polskich. Obora po czesku znaczy bowiem zwierzyniec, zwierzyniec zaś oznacza to samo, co po polsku obora.

Wyjeżdżamy dziś wcześniej niż zwykle, już przed godziną piątą. Droga wiedzie przez najpiękniejszą część „Czeskiego Raju". Mijamy okrągły, biały jak lukrowany torcik, zamek Humprecht i średniowieczną, przytłaczającą ogromem, zbudowaną z szaro-czarnej kamiennej kostki, twierdzę Kost. Z daleka na wzgórzach przesuwa się, z każdego prawie miejsca widoczny, największy i najstarszy z tutejszych zamków, górujący nad okolicą — Trosky o dwóch wieżach: jednej smukłej, a drugiej przysadzistej, toteż zwanych „Panna" i „Baba".

Droga mija więc szybko i zielonkawa Tatra Plana, wyjąc pierwszym biegiem, forsuje strome serpentyny, wiodące do Zehrov-Obory. Piętnaście po piątej jesteśmy już na miejscu.

Przed domkiem myśliwskim „Bellevue" oczekuje na nasze przybycie inspektor lasów, znany zawodnik, Józef Fort. Dziś czuje się już lepiej. Wczorajszy atak ślepej kiszki przeszedł prawie bez śladu, toteż wita miły gospodarz nas z uśmiechem na ganku leśniczówki.

— Lovu zdar!

— Darzbór! — odpowiadam.

Krótkie zarządzenia wydane hajniemu (gajowemu) Pavlistie i ruszam jak wczoraj i przedwczoraj w pochód do rewiru Skalicka.

— Niech pan pamięta — mówi na pożegnanie Fort — że na strzał trzeba się decydować szybko i strzelać dobrze, gdyż muflon jest ogromnie twardy na kulę, twardszy niż jeleń, a nawet niedźwiedź, a poza tym nie daje zupełnie farby.

Nazwa rewiru Skalicka jest ze wszech miar właściwa. Najprzód trzeba się bowiem piąć prawie prostopadle pod górę, potem forsować kamieniste usypiska a wreszcie na końcu zdobyć, przy pomocy własnych kolan, łokci oraz pomocnej dłoni hajniego, który śmiga po głazach jak kozica, brzeg płaskowzgórza porośnięty świerczyną i stanowiący szczyt górskiego masywu Zehrov-Obory.

Na skraju sforsowanej uboczy odpoczywamy. Pavlista, nie przestając wypatrywania po stokach górskich, wygłasza krótki referat o muflonie.

— Muflon sprowadzony został do Czechosłowacji w połowie dziewiętnastego wieku. Zaaklimatyzował się i rozmnożył w nowych warunkach świetnie, toteż dziś pogłowie jego liczone jest na terenie Czech i Słowacji na blisko 1.200 sztuk. Korsykańsko-sardyński ten zwierz tak znakomicie przystosował się ponadto do żyznych podgórskich okolic, że dziś nazywają go w Czechosłowacji „Ceskim zverem". Zresztą przed wiekami, jak mówią wykopaliska, muflon był autochtonem ziem nad Wełtawą. Ciekawy jest fakt, że muflon w

Czechosłowacji w niektórych częściach kraju, odbiegających krajobrazowo od jego stron rodzinnych, uległ pewnym mutacjom. I tak siodło, które w terenach czysto górskich stanowi szczegół podkreślający barwę ochronną muflona, w głębokich lasach uwypukliło znaczną białą plamą sylwetkę zwierza. Toteż obok muflona, odpowiadającego ściśle siodlastemu muflonowi śródziemnomorskiemu (Ovis musimon), wytworzyła się nowa odmiana muflona bezsiodłego (Ovis sinesella). Również muszle u muflona (ovis musimon), żyjącego powyżej linii lasów, rozbieżne na końcach, zmieniły się u podgatunku (ovis sinesella) na zbieżne na końcach, dla łatwiejszego przeciskania się zwierza przez gęszczary, które on na podgórzach zamieszkuje.

Stare tryki i muflonki żyją w nowych warunkach niezbyt długo, najwyżej do 12 — 15 lat, toteż egzemplarze, o których wiadomo, że przekroczyły 11 rok życia, winny być odstrzeliwane, gdyż w przeciwnym razie giną bezproduktywnie.

— A w jakim wieku baran nazywa się już odstrzałowym?

— Łownym trykiem jest taki, który ukończył 5 — 6 lat. Muszle takiego odstrzałowego muflona muszą być dobrze skręcone, aż pod oko, a długość ich wynosić powinna ponad 60 cm.

Ruszamy dalej w pochód. Prawo mimikry rzeczywiście tak dobrze kryje muflona, że wypatrzenie, stojącego na stokach górskich czy leżącego w rozpadlinach zwierza, jest rzeczą ogromnie trudną. Szczególnie, że piaskowe głazy i skały przybrały pod wpływem erozji kształty zastygłych płynących fal, fantastycznych baszt, wieżyc i fortec, łbów monstrualnych ropuch czy wreszcie rozsiadłych szeroko starochińskich rzeźb o pofałdowanych, potwornych brzuchach, zamazując kontury i plącząc linie wszystkiego, co jest głazem i skałą.

Toteż pomimo wypatrywania oczu aż do bólu, podchód nie daje jakoś rezultatu.

Jedynie najniespodziewaniej rwie się w gęstwinie świerkowej głuszec. Łopocze gromko w gałęziach, potem wypływa ponad drzewa i jak czarny, krępy pocisk rwie ku przeciwległej górskiej ścianie. Robi się coraz mniejszy, mniejszy, aż ginie za ostrą granią.

Idziemy dalej wąską drożyną, biegnącą skroś cienistej, świerkowej drągowiny.

Nagle ciche psyknięcie gajowego zatrzymuje mnie w półkroku.

Przez parę sekund lustruję oczami drągowinę i pnący się wyżej niż korony drzew stok górski. Muflona jednak nigdzie ani śladu. Boję się poruszyć, aby ostrożnego zwierza nie spłoszyć, boję się szepnąć Pavliscie słówko zapytania, żeby nie stracić możności strzału.

Nagle poruszyła się między pniami jedna, druga i trzecia biaława plama. Te plamy to siodła na sukni baranów. Świetna jest naprawdę nazwa siodło, gdyż przez chwilę drogą niezrozumiałego skojarzenia myśli, nie podnoszę nawet broni do twarzy, jakby w przekonaniu, że rogate, krępe, o kasztanowej barwie barany, noszące na sobie szare cyrkowe siodełko, znalazły się w lesie tylko przypadkiem.

Ale nie czas na refleksje. Pierwszy o zakręconych pięknie muszlach na łbie, garbonosy tryk pokazuje w wąskiej luce między dwoma świerkowymi pniami komorę. Krzyż lunety opiera się na pierwszym żebrze. Naciskam przyśpiesznik i zaraz potem dotykam palcem spustu.

Huk strzału biegnie lasem, spada w doliny, tłucze się po szczytach. Trójka muflonów stoi przez ułamek sekundy nieruchoma, a potem zawraca skocznym galopem w tył i ginie mi z oczu za urwistym stokiem.

Głupieję zupełnie. Strzał oddany był bowiem spokojnie, na zimno, dobrze mierzony, sztucer ostrzelany do tarczy, bijący na punkt. Jeleń powinienby paść w ogniu lub wysoką rakietą a ten „šákramencki" baran nawet nie zaznaczył otrzymanej kuli. Pełen jak najgorszych przeczuć biegnę na ślad. Rozpacz. Na zasłanej igliwiem kamienistej ziemi ani śladu, ani kropeleczki farby.

Wtedy Pavlista, widząc moje zdenerwowanie, mówi krótko:

— Lovu zdar. Dobra rana.

Może i dobra ale farby nie ma, tryka nie ma i nadziei zdaje się na znalezienie go też nie ma. Boję się, że po powrocie z dzisiejszego polowania mogę stać się przedmiotem dyskretnych uśmieszków, jak miało to miejsce z jednym niefortunnym łowcą sarnich głów przed dwoma dniami.

W zdecydowanie podłym nastroju przysiadam na wielkim głazie i odczekuję przepisowe 15 minut po strzale. Wreszcie ruszamy z Pavlistą w kierunku, gdzie uciekające muflony zniknęły mi z oczu za brzegiem urwiska.

Stok, znaczony żółtawymi usypiskami, głazami i kamieniami, biegnie z pieca na łeb ku granatowym plamom zagajów w kotlinie i jest tak stromy, że z mocno nieprzyjemnym uczuciem wychylam się, by przeszukać przez szkła przykrą ubocz. Obawa przestrzeni, którą normalnie odczuwam już na balkonie trzeciego piętra, i teraz nie daje mi spokojnie lornetować. W głowie zaczyna się kręcić, żołądek podchodzi pod gardło. Wreszcie objąwszy czule pień, rosnącej na brzegu urwiska i czerpiącej nie wiadomo skąd soki, pokręconej sosenki, patrzę w dół. Ale piargi puste są i ciche.

Nie, nie, w niewielkiej kępie paproci, jak odpoczywające przy żłobie bydle, leży mój muflon i ciężko wi-



Prawo mimikry

docznie ranny chwieje powoli i dostojnie łbem to w prawo to w lewo. Opieram więc szybko lufę na płaskim pożyłkowanym pęknięciu kamieni i strzelam.

Łeb barana nie przestaje kołysać się tym samym, równym i spokojnym ruchem wahadłowym. Strzelam po raz drugi. Teraz muflon rzuca łbem do góry, a zaraz potem przekręca się na bok i stacza kilkanaście metrów niżej.

Tak jak przed chwilą kręciło mi się nieprzyjemnie w głowie na widok pustej przestrzeni pod nogami, tak teraz, niepomny na nic, zeskakuję na urwisko i zjeżdżam na plecach, otoczony chmurą sypkiego i szarego jak popiół piasku górskiego, w dół ku zdobyczy.

— — — — — — — — — — — —

Muflon ma wszystkie trzy kule na dobrej komorze. Skąd wziął on siły dla przejścia 200 metrów po pierwszym postrzale, jak mógł nie zaznaczyć następnych? Jako odpowiedź przypominają mi się słowa Forta, że muflon to najtrwardszy na kulę zwierz.

Muszle muflona są pięknie karbowane, wygięte w zamaszystą literę C, długość ich wynosi 72 cm. Pavlista tutejszym zwyczajem składa jeden świerkowy złom na muflona, drugi umieszcza w pysku zwierza, trzeci wręcza na kapelusik mnie. Potem zabieram się do patroszenia. Trzeba w tym miejscu zanotować ciekawe spostrzeżenie, że muflon żywi się prawie wyłącznie mchem reniferowym. Obserwacja ta jest wiele mówiąca w dobie fałszywej teorii, wysuwanej przez niektórych leśników, że każdy kopytkowy zwierz jest wrogiem lasu.

Długie dwie godziny siedzę potem przy strzelonym zwierzu, niezdolny zrobić choćby kroku. Ten, kto strzeli kiedyś po raz pierwszy w życiu muflona lub podobnie rzadką i cenną zwierzynę — zrozumie mnie dobrze.

Tymczasem słońce zapada już za szczyty górskie. Na wysokich zachodnich zboczach płoną jeszcze odblaskiem zorzy złote strzały sosen, doliny i debry wypełnia jak woda błękitnawy mrok. Różowa, szamerowana złotem, niby huzarski dolman, chmura żegluje po seledynowym niebie wysoko nad szczytami.

Po usypisku ku górze pnie się lekko i zgrabnie rodzina muflonów, owce forsują bez wysiłku strome zbocze, jagnięta jak rozhukane źrebaki skokami, przypominającymi do złudzenia ruchy disneyowskich sarenek, harcują wokół matek. Muflony osiągnęły już szczyt góry, jakżeż wyraźnie rysują się ich sylwetki, niby wycięte z czarnego papieru na tle różowej zorzy.

Trzeba wracać. Hajni rzuca sobie muflona na plecy, jakby to był pustawy worek a nie blisko czterdziesto kilogramowy ciężar.

Nad lasem zapala się nikłym światłem pierwsza gwiazda.

AMBONY NA WODZIE

Ostatni dzień pobytu urozmaiciła nam czechosłowacka dyrekcja lasów państwowych polowaniem na pędzone kaczki.

Polujemy w leśnictwie Dymokury, pięknie położonym wśród lasów i stawów rybnych.

W czasie odprawy przed polowaniem miejscowy łowczy daje nam następujące zarządzenia:

— Nie wolno jest strzelać do mew Polujemy wyłącznie na kachny (kaczki) i rohacze.

Choć dziwi mnie trochę, że strzał do przypadkowego kozła w szuwarach może być w ogóle dozwolony i do tego śrutem — milczę.

— Bo cóż? Co kraj to obyczaj.

Szczęśliwie nieporozumienie wyjaśniła się już w czasie zajmowania pierwszych stanowisk, nie dopuszczając do międzynarodowej kompromitacji. Rohacz oznacza bowiem po czesku perkoza dwuczubego.

Na pierwszy ogień idzie staw, zwany Jakob, wielki jak jezioro, rzucony półkoliście, niby srebrzysta klinga wśród liściastych lasów. Palba w czasie pędzenia jest silna, ale kaczki idą stadami wysoko, tak że na 5, 10 i więcej strzałów, ledwo jedna sztuka wzburza upadkiem z wysoka wytrysk wody na tafli jeziora.

Około południa przerzucamy się na następny staw o nazwie Pusty. Nie jest on jednak bynajmniej pusty. Kaczki rwą się teraz stado za stadem. Kanonada rośnie, potężnieje. Każdy klucz, stado, gromada a nawet każda poszczególna kaczka odprowadzane są salwami, jak eskadra samolotów ogniem baterii zenitowych.

Ciekawe jest na stawach czechosłowackich gospodarstw rybnych ustawienie i maskowanie stanowisk myśliwskich. Otóż miejscowa straż łowiecka buduje po spuszczeniu wody ambony identyczne z tymi, jakie widzimy po lasach w miejscach przechodu jeleni. Gdy woda po otwarciu mnichów napłynie, rusztowania nikną i pośrodku stawu pływają kosze, dające świetne ukrycie myśliwym. Kaczki w Dymokurach były już tak ostrzelane i przepłoszone, że ogólny wynik polowania nie wypadł imponująco. Raport, złożony po zakończeniu łowów dyrektorowi lasów Krumlowi, obwieścił, że padło wszystkiego podniesionych 48 kaczek. Większość z nich to krakwy, reszta krzyżówki, podgorzałki i kilka cyranek.

ODJAZD Z ŁEZKĄ W OKU

A więc znów dworzec na stacji Hradec Kralove. Znów znajomy wagon III klasy Praha — Warszawa. Znów mała stacyjka Lichkov. I znów ta sama delegacja Ceskoslovenskej Mysliveckej Jednoty, która pomimo zmęczenia siedmiodniową krzątaniną odprowadza nas do granicy.

Cóż robić, wszystko na świecie się kończy.

A może właśnie się nie kończy. Może się właśnie i tylko zaczyna. Tak, na pewno zaczyna.

Nasza wycieczka do Czechosłowacji, zawody i wspólne polowania — to początek coraz bliższych, najbliższych stosunków sąsiedzkich i braterskich pomiędzy czechosłowackim a polskim łowiectwem, stosunków, które przed wojną uniemożliwione były atmosferą wzajemnej niechęci i wrogości.

To początek obalenia na jednym jeszcze odcinku sztucznych barier, jakie postawione zostały między narodami czechosłowackim i polskim. I pomiędzy wszystkimi narodami słowiańskimi.

Warszawa wita nas chłodnym porankiem, mgłą i kwiatami, a potem w siedzibie Związku — ciepłym śniadaniem i jeszcze bardziej ciepłymi słowy. A po południu zaskakuje nas miłą niespodzianką w postaci wizyty Wiceministra Leśnictwa Borowego, Ministra Jaroszyńskiego oraz Dyrektora Głównego Urzędu Kultury Fizycznej Motyki.

Z wielkim wzruszeniem, jakie wywołuje zawsze właściwa ocena wysiłku i pracy, przyjęli nasi zawodnicy piękny dar Ministra Borowego w postaci odstrzału jelenia na rykowisku dla każdego. Pozwalam sobie w ich imieniu złożyć raz jeszcze Ob. Ministrowi najserdeczniejsze podziękowanie.

* * *

Myślą jestem jeszcze ciągle w pięknej, gościnnej Czechosłowacji na urwistych Prahowskich Skalach, na zagubionej pośrodku stawu ambonie, na szumiącym oklaskami standzie...

— Darzbór kochani bracia i przyjaciele Czechosłowacy. Do zobaczenia na strzelnicy w Warszawie, a potem w sercu polskiej kniei...

Zb. Kowalski

Inż. JULIAN BOHUSZ

Planowanie w gospodarstwie łowieckim

Wiemy, że gospodarka Polski współczesnej opiera się na zasadach planowości działania. Słuszniej należało by powiedzieć, że całość życia społecznego jest tym zasadom podporządkowana, ponieważ przenikają one również do dziedzin, stojących obok właściwego życia gospodarczego, jak np. szkolnictwo, badania naukowe, nawet sztuka i literatura.

Istotę działalności planowej możnaby określić najogólniej, jako świadomość celu tej działalności i koordynację środków, stosowanych do jego osiągnięcia.

Tak pojęta istota planowania nie jest obca różnym ustrojom społecznym i politycznym nie jest także obca ustrojowi kapitalistycznemu. Sedno rzeczy tkwi w tym, jak daleko zasada planowości działania w skali ogólnopaństwowej da się w takim czy innym ustroju przeprowadzić. W warunkach więc gospodarczego liberalizmu ustrojów kapitalistycznych niewątpliwie każdy przedsiębiorca będzie również planował w zakresie swego warsztatu pracy i należy podkreślić, będzie z zasady planował z punktu widzenia li tylko własnego interesu, a co najwyżej, z uwzględnieniem interesów dziedziny produkcyjnej, którą reprezentuje.

Już koordynacja planów działalności wielu przedsiębiorstw jednej dziedziny produkcyjnej, rządzonych według nieskrępowanej woli ich właścicieli, natrafia na poważne trudności. A wydaje się rzeczą wręcz niemożliwą w warunkach liberalizmu gospodarczego zogniskowanie działalności różnych dziedzin produkcji, o rozbieżnych nieraz interesach i dążeniach, dla osiągnięcia wspólnych, z góry wytkniętych celów, celów w skali ogólnopaństwowej.

W takich warunkach, aczkolwiek istnieje może planowanie jednostkowe i odcinkowe, brak jest planowania generalnego na szczeblu najwyższym, które gwarantowałoby harmonię działalności wszystkich dziedzin życia społecznego, niwelowało przeciwstawności interesów i dążeń partykularnych, zapewniało ekonomię zużycia sił i materiałów produkcyjnych, ustalało hierarchię potrzeb i celów wysiłku całego społeczeństwa.

Takie planowanie, obejmujące całokształt życia społecznego, obowiązuje dziś w naszej gospodarce państwowej i pięcioletnie jego wyniki są dla wszystkich widoczne.

Żeby sprowadzić ten wstępny teoretyczny wywód na grunt spraw realnie nas myśliwych interesujący, posłużymy się właśnie sprawą łowiectwa, jako klasycznym przykładem.

Nikt nie zechce zaprzeczyć, że gospodarstwo łowieckie w pewnych fragmentach swej działalności wchodzi w kolizję z interesami gospodarstwa rolnego i leśnego. Mam tu na myśli sprawę szkód wyrządzanych przez zwierzynę, które były, są i zgódźmy się z tym — zawsze będą występowały. Chodzi tylko o to, jakie te szkody będą miały znaczenie dla gospodarstwa narodowego.

W warunkach ustrojowych gospodarki liberalistycznej zagadnienie wyglądało nader jednostronnie. Chciał ktoś hodować jelenia czy dzika — płacił odszkodowania i sprawa była załatwiona. Aspekt społeczny takiego stanu rzeczy nie wchodził w rachubę. Nikogo nie można było zmusić, aby się z nim liczył.

Dziś rzecz wygląda inaczej. Widzimy to chociażby na przykładzie popularnej obecnie sprawy dziczej. Dziś Państwo stawia sobie nie tylko pytanie czy rolnik otrzyma odszkodowanie za poniesione straty materialne, ale także, jaka jest waga zniszczonych płodów rolnych dla gospodarki narodowej w bilansie z korzyściami materialnymi i niematerialnymi, jakie niesie społeczeństwu łowiectwo.

Zasadą planowości jest także stałe bilansowanie efektów różnych dziedzin działalności, z którego wynika dopiero społeczna racja ich bytu, wreszcie kształtują się zręby państwowego planu gospodarczego.

Jeśli łowiectwo ma zachować swą rację bytu, musi tę rację udowodnić, musi zestawić rachunek strat i zysków, jakie społeczeństwu niesie, musi zsynchronizować swe cele rozwojowe i swą działalność z ogólnym planem gospodarczym Państwa, musi wreszcie włączyć się do tego planu odpowiednio poważnym udziałem.

W tych tylko warunkach widzę możliwości rozwojowe dla łowiectwa w dzisiejszej Polsce. W przeciwnym wypadku łowiectwo może być, co najwyżej przez pewien czas, jeszcze tolerowane, jako balast i przeżytek minionych czasów.

O tym my, myśliwi, musimy dobrze pamiętać.

Nie wątpię, że bilans strat i zysków w gospodarce narodowej wypadnie dla łowiectwa dodatnio. Nie zapominajmy, że do rachunku wchodzą zarówno jego wartości materialne, jak i niematerialne. Trzeba tylko udowodnić, że wartości te mają istotnie znaczenie ogólnospołeczne.

Wydaje mi się, że w tym celu łowiectwo musi:

1) określić swą rolę społeczną, z której płyną właśnie jego wartości niematerialne.
2) Uzasadnić swą gospodarczą rację bytu.
3) Uzgodnić punkty styczne z gospodarstwem rolnym i leśnym.
4) Wytknąć cele i zakreślić granice swych dążeń rozwojowych.

Na tych przesłankach oprzeć się musi plan działalności łowiectwa, jako składowa część planu gospodarczego Państwa, oby też, jako aneks do planu sześcioletniego.

Uprzytomnijmy sobie, że dziś planowanie państwowe nic nie wie o potrzebach rozwojowych łowiectwa i o celowości tych potrzeb. Jedyny, jak dotychczas, mikroskopijny ślad istnienia dziedziny łowiectwa w gospodarce narodowej, to jedna cyfra — zadeklarowanej przez Jedność Łowiecką dziczyzny do eksportu.

I to, jak dotychczas, wszystko.

Nie ma nas w planie inwestycyjnym, nie ma w planie produkcji, nie są skrystalizowane nasze dążenia organizacyjne.

Jak to już wspomniałem wyżej, w planie działalności łowiectwa należało by zarysować dwa elementy — element działalności społecznej oraz gospodarczej, jako odpowiedniki niematerialnej i materialnej sfery, działania.

W dziedzinie planowania działalności społecznej leżą: upowszechnienie łowiectwa, ukształtowanie oblicza ideowego myśliwych, podniesienie poziomu ich ety-

ki i fachowości łowieckiej, wreszcie zagadnienie organizacji myśliwych.

Temu ostatniemu zagadnieniu, jako związanemu z aktualną dziś, niezmiernie ważną sprawą reorganizacji Polskiego Związku Łowieckiego, należało by poświęcić osobne omówienie.

Przystępując do planowania gospodarczego materialnej działalności łowieckiej, należy ująć powszechnym planem kwestie: hodowli zwierzyny w najszerszym i najwszechstronniejszym tego słowa rozumieniu; racjonalizacji odstrzału, jako miernika produkcyjności gospodarki łowieckiej, wreszcie kwestie zrównoważenia szkód wyrządzanych przez zwierzynę w granicach rozsądnych i z góry przewidzianych norm, co zarazem dla planu hodowli określi granice liczebności pogłowia niektórych gatunków zwierzyny w poszczególnych okręgach kraju i obwodach łowieckich.

Wymienione w ten sposób elementy planu gospodarki łowieckiej stanowią, oczywiście, tylko zagadnienia i to może nie wszystkie, które winny znaleźć rozpracowanie w treści poszczególnych działów planu gospodarki łowieckiej na wzór innych dziedzin gospodarstwa narodowego, jak — powiedzmy — rolnictwa, leśnictwa czy hodowli bydła domowego.

Zasady takiego planowania, jednolite formy technicznego ujęcia oraz przede wszystkim wytyczne polityki rozwojowej łowiectwa, muszą być opracowane odgórnie, przypuszczalnie przez władze naczelne Polskiego Związku Łowieckiego i uzyskać aprobatę władz Państwa, aby plan gospodarczy łowiectwa znalazł prawo obywatelstwa w planie gospodarczym Państwa.

Samo opracowanie planów, przede wszystkim w dziedzinie gospodarczej, w oparciu o generalne wytyczne i zasady musi mieć charakter oddalony, tj. wychodzić od komórek najniższych, czyli kółek łowieckich, które będą plany w poszczególnych obwodach łowieckich realizowały.

Tak opracowane plany jednostkowe należy stopniowo, przez wyższe hierarchiczne ogniwa organizacyjne Polskiego Związku Łowieckiego, synchronizować ze sobą i odpowiednio korygować.

Wreszcie zasadą gospodarki planowej jest stała kontrola wykonania planu, aby nie stał się tworem papierowym i rzeczywiście odegrał swą rolę gospodarczą.

W imię tej zasady ogół myśliwych musiałby poddać swą gospodarkę łowiecką kontroli odpowiednich władz organizacyjnych Polskiego Związku Łowieckiego, wyposażonych w niezbędne dla efektu kontroli sankcje.

Zasada tak pojętej gospodarki planowej w łowiectwie wymaga pewnej dyscypliny organizacyjnej, wyrzeczenia się nieograniczonej swobody działania, któremu ogół myśliwych winien poddać się w imię wyższego rzędu dobra całego łowiectwa.

Realizacja zasad planowej gospodarki łowieckiej musiałaby oprzeć się o postanowienia nowej ustawy oraz pociągnąć za sobą konieczność reorganizacji Polskiego Związku Łowieckiego.

Związek pełni dziś rolę reprezentacji, że się tak wyrażę, branżowej myśliwych. Brak mu, moim zdaniem, niezbędnej spoistości organizacyjnej. W pionie organizacyjnym władze nadrzędne posiadają zbyt mały wpływ zwierzchności hierarchicznej w stosunku do jednostek podległych i to w rozpiętości od Naczelnej Rady Łowieckiej, aż do pojedynczego członka PZŁ.

Na skutek takiego stanu rzeczy brak jest całości organizacji cech jednolitego działania, jednolitej polityki łowieckiej, przejawia się zbyt daleko idąca w skutkach autonomia ogniw terenowych Związku.

Z drugiej strony władze centralne Związku grzeszą jeszcze, w moim pojęciu, brakiem dostatecznej programowości działania, przynajmniej w skali, w jakiej pragnąłbym ten czynnik w działalności związkowej widzieć.

Może zresztą jest to wynikiem, jak już wspomniałem wyżej, zbyt luźnej spójni organizacyjnej Związku, co utrudnia władzom centralnym skuteczny wpływ na działalność komórek terenowych.

W planowanym gospodarstwie łowieckim kraju, my myśliwi, chcemy być samorządem gospodarczym i ponieść odpowiedzialność za wyniki naszej działalności.

Władze naszego zrzeszenia — Polskiego Związku Łowieckiego — winny być organami władzy tego samorządu.

Z tym założeniem należało by postulować zasady reorganizacji Polskiego Związku Łowieckiego. O zasadach tych chciałbym mówić szerzej i na innym miejscu. Tu formułuję tylko parę naczelnych postulatów, jakie pragnąłbym znaleźć w programie działania przyszłego zrzeszenia myśliwych, a mianowicie:

1) Jak najszerszy udział Polskiego Związku Łowieckiego w zakresie wyręczania władz państwowych w sprawach łowiectwa.
2) Podniesienie w stosunku do członków wymagań pod względem ideowości i fachowości łowieckiej.
3) Wzmożenie więzi i dyscypliny organizacyjnej wewnątrz Związku, umożliwiające władzom PZŁ faktyczne kierownictwo gospodarką łowiecką w kraju.
4) Rozszerzenie zakresu władzy organów wykonawczych Związku.
5) Sprecyzowanie i rozszerzenie roli łowczego powiatowego jako decydującego czynnika w działalności Związku.
6) Powiązanie planowania i działalności władz Polskiego Związku Łowieckiego ze Związkiem Samopomocy Chłopskiej, administracją lasów państwowych i zarządem państwowych gospodarstw rolnych, jako stroną zainteresowaną w skutkach gospodarki łowieckiej.
7) Powiązanie działalności Polskiego Związku Łowieckiego z całością życia społecznego.

Pod kątem widzenia tych postulatów pragnąłbym reorganizacji Polskiego Związku Łowieckiego.

Zdaje się, że zapowiedziana nowa ustawa łowiecka winna w dostatecznym stopniu gwarantować możliwość gospodarki planowej na rozwiniętych tu zasadach. Przy omawianiu z niektórymi kolegami myśliwymi zasad, na jakich, według dezyderatów świata łowieckiego, winna oprzeć się nowa ustawa, spotkałem się ze stanowiskiem sceptycznym, z uznaniem, że wprowadzenie idei planowania w gospodarstwie łowieckim jest nieżyciowe, zbyt daleko wybiegającym nowatorstwem, które w realizacji nie przezwycięży trudności technicznych, obojętności i biernego oporu szerokich rzesz myśliwych i niezrozumienia celowości proponowanych reform.

Osobiście wierzę w dojrzałość obywatelską i zrozumienie wagi sprawy w społeczeństwie łowieckim.

Wierzę, że łowiectwo nie będzie tym odcinkiem zacofania w życiu społecznym i gospodarczym kraju.

Inż. J. Bohusz

MIECZYSŁAW MNISZEK TCHORZNICKI

Jesienny rapsod

Wyszedłem przed kolibę. Oczy przyzwyczajone do światła nie widziały nic w mroku panującej jeszcze nocy. Tylko tysiące gwiazd błyszczały złotymi ćwiekami na kopule nieba. Mrozu wprawdzie nie było, ale dojmujący chłód pozwolił spodziewać się na rano przymrozku. Z daleka dochodził głośny, pełny ryk jelenia. To znany mi dwunastak głosił swą miłość i władztwo nad haremem czterech łań.

Już czwarty dzień byłem w górach na rykowisku. Niestety, do strzału nie doszedłem. Widziałem wprawdzie kilka byków, ale nic godnego uwagi. Najlepszy z nich — to właśnie ryczący dwunastak. Ponieważ stale, codziennie, odzywał się w jednym miejscu, postanowiłem, że w ostatnim dniu, o ile nic nie strzelę, spróbuję szczęścia na niego.

Przewodnik mój, sześćdziesięcioletni Wasyl, opowiadał mi o grubym czternastaku i innych bykach, których wieńce wydawały się warte trudów.

Powoli oczy przyzwyczaiły się do ciemności i wnet ruszyliśmy wąską ścieżką górską w dół, aby po długim, prawie dwugodzinnym marszu, wydostać się na zrąb na stoku zarośniętego pasma gór. Szarzało, gdy zmachany niesamowicie usiadłem na pniu zwalonej jodły. Złożywszy na ziemi plecak z prowiantem, rozlokowawszy się możliwie najwygodniej, oczekiwałem na rozwój wypadków. Wasyl zniknął jak duch w szarzyźnie wstającego dnia, aby na drugiej stronie stoku obserwować czy tam nie wychodzą.

Znajomy dwunastak porykiwał bezustannie, ale oprócz niego żaden inny byk się nie odzywał.

Jak było do przewidzenia, lekki przymrozek zaczynał szronić krzewy i paprocie. Szczelniej zapiąłem wszystkie guziki lodenowej kurtki, bo dojmujący chłód dobierał mi się do ciała.

Coraz lornetką lustrowałem całe otoczenie. Ale niczego nie dostrzegałem.

Już wzeszło słońce, gdy nagle, zdawało się, że coś się poruszyło obok gęstego krzaku leszczyn. Wolno uniosłem lornetkę i zobaczyłem w odległości jakich stu metrów bacznie mnie obserwującą — łanię.

Zamarłem bez ruchu. Tylko ręka zaczęła mi drgać, gdy zbyt długo musiałem trzymać lornetkę przy oczach. Wreszcie łania odwróciła głowę i skubiąc liście, ruszyła w górę. Za nią druga, trzecia i na końcu byk. Znów lornetka do oczu, ale tylko wieniec słabego dziesiątaka ukazał się mym oczom. Byk szedł za łaniami, przystając od czasu do czasu, zarzucał wieniec na grzebiet, wyciągał pysk, jakby chciał ryczeć, ale głosu nie dawał. Czy czuł się za słaby, czy bał się zdradzić ze swą obecnością i dlatego milczał? A może wiedział o istnieniu innego, grubszego jelenia i wolał ustąpić z placu bez walki...

Cudnie wyglądał na tle błękitnego nieba... Cudny twór przyrody, wspaniale harmonizujący z tłem otoczenia.

Brąz, miedź i mosiądz zlewały się w jeden wielki szał kolorów jesiennych, wśród których złoto i purpura znaczyły się jaskrawymi plamami. Gdzie niegdzie i zieleń jeszcze połyskiwała. Złote pnie wysokich sosen i szare pnie jodeł odbijały na swych strzałach promienie wschodzącego słońca.

Tylko cisza panowała teraz całkowita. Ptaki milczały. To nie wiosna, gdy puszcza kipi gwarem ptasim. Odleciały już niektóre, inne zbierały się do odlotu. Dzięcioł kuł na sośnie, on tu pozostanie przez całą zimę. On jeden z nielicznych pozostanie wierny tym stronom, nie tęskni do ciepła i słońca, wystarczy mu zaciszna dziupla, gdy śnieżna zamieć zawyje. A czasem nad górami popłynie jakby skarga. To klucze żórawi lecą na południe. Ich płaczliwe tony odbiją się echem od wierchów, wrócą, uderzą o ściany boru, aż całe góry roztkliwią się ich dźwiękiem.

Około dziesiątej wrócił Wasyl. Widział też dziesiątaka z trzema łaniami. Prawdopodobnie był to ten sam byk, którego i ja widziałem.

Nie mogłem zrozumieć, dlaczego byki milczą. Ranny przymrozek pozwalał spodziewać się dobrego rykowiska.

Prowiantami z plecaka raczyliśmy się z Wasylem, gdy nagle grube stęknięcie zelektryzowało nas. W trawę poszły kanapki, ręka chwyciła sztucer.

Nim zdążyłem dostrzec ruch daleko za nami i podnieść lornetkę do oczu, już Wasyl zobaczył byka i szepnął:

— Heto, pane — on!

W szkłach ujrzałem las odnóg. Czarny wieniec i moc biało błyszczących odnóg. To był wieniec! Wysoki, rozłoga olbrzymia. Byk nie ryczał. Był sam, tylko od czasu do czasu pomrukiwał. Długa grzywa okrywała szyję i pierś zwierzęcia. Wspaniały był.

Nie mogłem oczu oderwać od niego. Trzeba jednak było coś postanowić. Byk to ułatwił. Wolno zaczął się oddalać, wreszcie znikł w dole wśród gęstwy drzew.

— Czy to ten czternastak — spytałem Wasyla.

— Ne pane, to on — kniaź — brzmiała odpowiedź.

Wieczorem Wasyl opowiedział mi, że co roku na kilka dni zjawia się w czasie rykowiska gruby byk, którego nazywają tu „kniaziem". Nieraz myśliwi go widzieli, ale żaden nie doszedł do strzału. Skąd przychodzi „kniaź" i gdzie znika — nikt nie wiedział, ale znają go wszyscy gajowi.

Wracaliśmy do koliby. Wnet Wasyl rozpalił ogień i nastawił garnki. Dla mnie gotował wodę na herbatę, dla siebie mamałygę, narodową potrawę hucułów.

Zjadłszy skromny posiłek, położyłem się spać. Nie mogłem jednak zasnąć, wciąż widziałem przed sobą „kniazia", o nim marzyłem.

O trzeciej po południu znów byłem na stoku; Wasyl poszedł na inny grzbiet, aby tam obserwować.

Znów cisza zupełna. Cóż u djabła? Czy byki się nie odezwą?

Koło piątej zaczął ryczeć dwunastak. Z boku gdzieś odpowiedział mu drugi byk. Po głosie poznałem, że to jakiś „starszy pan". Postanowiłem go podchodzić, choć bałem się czy gdzieś nie spłoszę „kniazia", który powinien znajdować się niedaleko.

Zejść na dół po wydeptanej ścieżce nie było sztuką, ale wejść na górę, po mocno zarośniętym zrębie, wśród plątaniny jeżyn, leszczyny, zeschłych paproci i suchych gałęzi, można było tylko z wielkim wysiłkiem. Toteż gęsty mrok już panował, gdy byłem w połowie góry. Niski bas mocnego byka odzywał się niedaleko. Ale dalej bałem się podchodzić. Jeleń zbliżał się do mnie. Jeszcze chwila a zobaczę go. Wąska luczka wśród krzaków, w niej to spodziewałem się dojrzeć byka. Ale też z każdą chwilą robiło się ciemniej. Wtem luczka się wypełniła i przez szkła lornetki zobaczyłem szyję, łeb i wieniec grubego czternastaka.

Podniosłem sztucer, ale mrok nie pozwolił na dokładne mierzenie. Musiałem zrezygnować ze strzału. Może przy użyciu lunety mógłbym był strzelić, ale bez niej wolałem nie ryzykować strzału, spłoszenia jelenia lub, co gorzej, zranienia.

Byk chwilę jeszcze stał, wreszcie wolno nie spłoszony znikł z oczu.

Wracałem do koliby. Idąc potykałem się wciąż o leżące pnie, a ubranie szarpały mi powrozy jeżyn. Po godzinie takiej wędrówki wydostałem się na znajomą ścieżkę, prowadzącą do koliby, w której wkrótce się znalazłem. Tu zastałem Wasyla, opowiedział mi, że widział dobrego dwunastaka z trzema łaniami, słabego dziesiątaka i wreszcie, gdy zupełnie sciemniało, jeszcze jednego byka, ale z powodu ciemności określić go nie mógł

W nocy obudził mnie monotonny szum deszczu. Ubrałem się i wyszedłem przed kolibę, aby stwierdzić, że sensu nie ma w taką pogodę szukać szczęścia.

Około południa wypogodziło się o tyle, że deszcz przestał padać. ale tak się ociepliło, że zmniejszyły się bardzo szanse powodzenia myśliwskiego.

Skoro wyszedłem z koliby, ujrzałem w dole morze mgły. Zwały białej waty otulały las, jedynie wierzchołki gór wolne były od waalów.

Mimo to ruszyłem na stare miejsce. Ale tego popołudnia i wieczora nic nie słyszałem, a widziałem tylko rogacza, który blisko mnie przeszedł. Wracając wśród mgieł, w całkowitym mroku potknąłem się i upadłem tak nieszczęśliwie, że w bolesny sposób rozbiłem kolano o wystający pień ściętego drzewa. Ledwo dokusztykałem się do koliby. Tu zrobiłem okład z zimnej wody, innych bowiem medykamentów, oprócz aspiryny, nie miałem przy sobie.

W nocy, przy każdym ruchu budziłem się z bólu, a gdy Wasyl około trzeciej mnie zbudził, stwierdziłem niesamowite spuchnięcie kolana. Zmieniłem znów zimny okład i opierając się o dwóch kijach, służących mi za laski, udałem się w drogę. Plecak niósł Wasyl, ja tylko sztucer i lornetkę.

Skierowałem się na stałe moje stanowisko. Droga, którą zwykle przebywałem w dwie godziny, dziś zabrała mi znacznie więcej czasu. Słońce już wysoko świeciło, gdy wreszcie zmęczony dobrnąłem do miejsca.

Dzień był przepiękny. Jesienne kolory, po wczorajszym deszczu, jakby stały się jeszcze bardziej intensywne. Czułem się, jakby otoczony wirem tańczących kolorów i cieni, oczu nie mogłem oderwać od tego kłębowiska barw. A nad tym wszystkim cudne, błękitne niebo bez chmur. Tylko — jak na rykowisko — za ciepło.

Ale widocznie i na jelenie ta gra barw też działa, bo zewsząd słychać było ryki. Dwunastak odzywał się na swoim zboczu, niedaleko słychać było głęboki bas czternastaka, dalej gdzieś dwa słabe byki odzywały się wysokimi głosami. I znów tego ranka usłyszałem ryknięcie „kniazia". Jakby spod ziemi wydobywał się głęboki bas, jakby mruknięcie z trudem wychodziło z gardzieli. To był głos! Na chwilę wszystkie byki milkły, jakby przerażone, ale wnet „zapiewajło", jak nazwałem dwunastaka, przerwał ciszę. Za nim odezwały się inne.

Chciałem podchodzić czternastaka, ale ból w nodze zmusił mnie do pozostania na miejscu. Wówczas Wasyl zawabił. Czynił to wprawnie na ręce. Pomrukiwał głosem średniego byka, a czynił to tak udolnie, że wkrótce czternastak odpowiedział mu z irytacją. I szedł dwugłos. Człowiek zwabiał zwierzę w zasadzkę. Ale czy zwierzę instynktem wiedzione przeczuło, co się święci, czy Wasyl wydawał fałszywy ton, dość, że w pewnym momencie, czternastak odpowiedział pełnym wyrzutem krtani, ale w środku ryku urwał, a późniejsze rzadkie mruknięcia oddalały się coraz bardziej.

Znów ranek ten nie przyniósł upragnionej zdobyczy.

Ponieważ noga bolała mnie mocno i puchła coraz bardziej, postanowiłem odpocząć. Wasyla posłałem do koliby po żywność, sam zaś. otuliwszy się lodenem, zasnąłem pod nawisem wiekowego świerka.

Obudziłem się z uczuciem, że ktoś na mnie patrzy. Nie ruszając się otworzyłem oczy i ujrzałem sarnę, stojącą o kilka kroków, wpatrzoną w dziwny twór — we mnie.

Nieopatrzny ruch spłoszył ją. W lekkich lansadach znikła mi z oczu.

Niedługo po tym przyszedł Wasyl. Gorąca herbata z termosu, chleb z masłem i rybki jakieś z puszki, zaspokoiły głód, a zapalony papieros smakował mi wyjątkowo. Ból w nodze zmalał, choć opuchlizna nie schodziła. Byłem pełen nadziei i najlepszych myśli.

Po południu znów się odezwały byki, ale oprócz młodego ósmaka, nic nie widziałem, a podchodzić ze względu na nogę nie mogłem. ,

Powrót do koliby był straszny. Kolano znów dawało mi się mocno we znaki. Już kije nie pomagały i musiałem oprzeć się na Wasylu.

Jutro — ostatni dzień mego pobytu w górach. Jeszcze jeden ranek i wieczór i pojutrze wracam do domu. Ostatnia szansa.

— Mróz pane — z tymi słowami obudził mnie Wasyl, jak zwykle o w pół do trzeciej.

Ubrałem się szybko. Ból w nodze znów mniej dokuczał. Odczułem znaczną poprawę. A może pomogło lekarstwo Wasyla, który wieczorem obłożył mi kolano świeżym twarogiem.

Dziś przybyłem na czas na miejsce. Szaro było jeszcze na świecie, silny szron srebrzył trawy i kiście paproci.

Usiadłem na swojej jodle. Wasyla posłałem na inny zrąb. Chciałem być sam. Ostatni poranek w karpackiej kniei. Myśli kłębiły się w głowie, a nadzieja zdobycia wieńca stawała się coraz bardziej niepewna.

Może była już godzina ósma, może później, gdy nie dalej jak o dwieście kroków odezwał się byk. Poznałem po głosie czternastaka.

Wstałem i mocno kulejąc zacząłem go podchodzić. W pewnym momencie uderzyłem bolącym kolanem o wystającą z ziemi gałąź i z bólu przyklęknąłem.

W tej chwili zadrżałem, bo o jakie pięćdziesiąt kroków ode mnie ryk byka rozdarł powietrze, a przez krzaki dojrzałem ruch. Podniosłem lornetkę do oczu. To łania przechodziła przez ścieżkę wydeptaną przez jelenie. Szybki ruch podnoszonego sztucera. Zmierzyłem się na ścieżkę i w momencie, gdy ujrzałem ciemny wieniec z białymi końcami — strzeliłem.

Po strzale nie wiedziałem czy trafiłem. Byk był w skoku, gdy strzelałem, a tętent uciekającej łani nie pozwalał mi usłyszeć czy byk padł, czy też poszedł.

Usiadłem na ziemi, zapaliłem papierosa. Powoli uspakajały się nerwy. Cicho, bezszelestnie zjawił się Wasyl. Udaliśmy się razem na miejsce strzału. Tuż za ścieżką, wśród gęstych jeżyn, leżał ka•italny czternastak. Padł w ostatnim skoku. Leżał z podkulonymi przednimi nogami, daleko wyciągnąwszy szyję. Wśród plątaniny jeżyn błyszczały wypolerowane, białe końce odnóg. Oddałem Wasylowi sztucer i poleciłem wrócić z końmi.

Nie miałem siły wracać do koliby, noga sprawiała ból wielki, a zmęczenie po kilkudniowej wędrówce po górach dawało się również we znaki. Teraz, kiedy napięcie nerwowe wyładowało się, owładnęły mną ból i zmęczenie.

Usiadłem blisko mego jelenia; wzrok stale spoczywał na wspaniałym wieńcu. Podziwiałem wysokość, rozłogę, uperlenie, kolor. Ręka raz po raz sięgała do wieńca, mierząc coraz w innym miejscu grubość tyki.

Jak długo tak siedziałem — nie wiem.

W pewnej chwili usłyszałem trzaśnięcie gałązki. Obejrzałem się automatycznie za sztucerem, zapomniawszy, że oddałem go Wasylowi, by odniósł do koliby.

Drugie trzaśnięcie... Wiedziałem teraz, że idzie zwierzyna; ale co? Jelenie czy dziki?

I nagle... na ścieżkę, na dwadzieścia kroków ode mnie, w pełni słonecznego dnia wyszedł „on", „kniaź". Stanął wpatrzony we mnie, jakby pytał, co robi intruz w jego królestwie.

Patrzyliśmy na siebie. Ja podziwiałem jego piękność, a on... może instynktem wiedziony, wiedząc, że nie mam przy sobie broni, łaskawie pozwalał mi zachwycać się swym pięknem. Wreszcie majestatycznie przekroczył leśną ścieżynę i znikł w gęstwinie.

Tak żegnała mnie w roku 1936 knieja karpacka.

Mieczysław Mniszek Tchorznicki



Ryczący byk
rys. A. Grocholski

WACŁAW GELDNER

Przygotowanie ubitej zwierzyny do handlu wewnętrznego i eksportu

(Dokończenie)

Zające i króliki

Unikać należy polowań w dni słotne. Mokra i ubłocona zwierzyna traci na wyglądzie i łatwo ulega zaparzenu, co w rezultacie powoduje znaczne obniżenie wartości zwierzyny, a całkowicie dyskwalifikuje cenną skórkę. Polne polowania w dni słotne powodują ponadto straty w oziminach, czyli strata gospodarcza jest podwójna.

Nie strzelać do zajęcy zbyt daleko ani zbyt blisko. Dalekim strzałem kaleczymy zwierzynę. Postrzałki dla myśliwego są zwykle stracone i stają się łupem psów lub drapieżników. Jako maksymalną odległość strzału do zająca, nawet dla najlepszej strzelby, należy uważać 50 — 60 kroków. Strzelanie do zajęcy wychodzących z „kotła" przy polowaniach polnych oraz za miotem przy pędzeniach polnych i leśnych, na dalszą niż wyżej określoną odległość, należy uważać jako nieetyczne. Strzałów zbyt bliskich również należy unikać, bo chociaż zwierzyna pada natychmiast martwa, to wartość jej, jako dziczyzny, jest znacznie obniżona. Zając czy królik rozbity zbyt bliskim strzałem, silnie farbując na zewnątrz, powoduje zabrudzenie turzycy, mięso jego jest poszarpane, pod skórą powstają duże zacieki farby, która krzepnąc, w znacznym stopniu utrudnia obielanie, a dziczyźnie nadaje nieprzyjemny czarny wygląd. Sztuki takie, jako towar eksportowy, są dyskwalifikowane.

Zaraz po zabiciu należy wycisnąć mocz z zająca bądź królika, dopóki jest jeszcze ciepły. Znane są dwa sposoby usuwania moczu. Pierwszy — przez silne potrząsanie zającem. W tym wypadku bierzemy zająca za słuchy, podnosimy możliwie wysoko do góry, a następnie szybkim ruchem opuszczamy na dół z tym, że nad samą ziemią zatrzymujemy ten ruch gwałtownym szarpnięciem ku górze. Czynność tę powtarzamy parokrotnie. Sposób ten nie zawsze jednak daje pożądane rezultaty. Drugim niezawodnym sposobem usuwania moczu jest stosowanie ucisku jamy brzusznej. W tym wypadku zająca trzymamy lewą ręką silnie za przednie skoki, a prawą, kciukiem i palcem wskazującym obejmujemy jamę brzuszną i dość silnie naciskając, masujemy ją ku dołowi. Powtarzając taki „masaż" dwa, trzy razy, mocz z całą pewnością usuniemy.

Pozostawienie moczu u zajęcy i królików zmniejsza ich odporność na psucie się i z całą pewnością wpływa bardzo ujemnie na smak mięsa.

Importerzy zagraniczni, przy zawieraniu umów, stawiają jako warunek konieczność usunięcia moczu z zajęcy, motywując swoje żądania względami wyżej podanymi, tj. podniesieniem trwałości i smaku mięsa. A zatem, chcąc prawidłowo przygotować dziczyznę do eksportu, musimy warunek ten zachować.

Po usunięciu moczu zające winny być natychmiast zawieszone za tylne skoki na drążkach, odpowiednio zmontowanych na wozach i tak transportowane przez cały czas trwania polowania. Przy zawieszaniu zajęcy na drążkach, należy zwrócić baczną uwagę na luźne rozwieszenie poszczególnych sztuk z zachowaniem odstępów, umożliwiających przepływ powietrza i dokładne wystudzenie zwierzyny. Świeżo ubite, jeszcze ciepłe zające, zbyt ściśle zawieszone, ściśnięte i przylegające do siebie, z reguły ulegają zaparzeniu. Należy tu zaznaczyć, że zające, posiadając ciepłe futro, odznaczają się szczególną łatwością zaparzania się, i to bez względu na otaczającą temperaturę, skoro tylko zostaną ułożone na gromadę. Dlatego też należy wykluczyć całkowicie transport zajęcy, tak w czasie polowania, jak i dalszy, w pozycji leżącej na gromadzie lub, co jeszcze gorsze, w workach lub innym nieprzewiewnym opakowaniu.

Zające transportowane w niewłaściwy sposób: na gromadzie, w stosach, workach lub powiązane w pęczki po kilka szuk i tak ułożone na wozie, samochodzie czy w wagonie kolejowym, ulegają obok zaparzenia silnemu zgnieceniu i wzajemnemu zabrudzeniu wyciekającą farbą. Wygląd takich zajęcy staje się nieestetyczny, jakość i wartość znacznie obniżone.

Podobnie jak ma to miejsce przy grubej zwierzynie, staranne wystudzenie zajęcy zaraz po ich upolowaniu, zachowanie czystości i właściwy sposób transportowania, jest pierwszym i nieodzownym warunkiem prawidłowego przygotowania i wstępnego zakonserwowania dziczyzny.

Myśliwi nazbyt często bagatelizują zagadnienia studzenia świeżo ubitej drobnej zwierzyny, a zagadnienia tego bagatelizować nie wolno, gdyż jest ono głównym warunkiem właściwego jej przygotowania — co podaję uwadze myśliwych i z naciskiem podkreślam.

Transport zajęcy, w czasie trwania polowania, furmankami, specjalnie do tego celu wynajętymi i przystosowanymi, jest opłacalny tylko na terenach, na których pada większa ilość zwierzyny. Na terenach uboższych polujemy jedynie przy udziale naganki, bez furmanek. W tym wypadku ubite zające noszą naganiacze. Należy tu zwrócić uwagę na prawidłowe noszenie zajęcy.

Najlepszym sposobem jest powiązanie przednich skoków zajęczych z tylnymi za pomocą mocnego sznurka lub rzemyka. W akcesoria te winien zaopatrzyć się myśliwy przed wyjazdem na polowanie. Dobre usługi oddają też specjalne sznurkowe troki, zaopatrzone w rączkę; troki te, jako powszechnie znane, nie wymagają opisu. Stanowczo wykluczyć należy noszenie zajęcy za słuchy, bądź przednie skoki, gdyż w tym wypadku, szczególnie u naganiaczy mniejszych wzrostem, zając jest częściowo wleczony po ziemi, a mokry i ubłocony zając łatwiej ulega zepsuciu, traci na wyglądzie i z trudem znajduje nabywców.

Transport zajęcy do miejsc zbytu winien zasadniczo odbywać się najpóźniej następnego dnia po polowaniu. Przy dwu — trzydniowych polowaniach zachodzi jednak konieczność przetrzymania zajęcy przez parę dni. Może to mieć miejsce również w wypadkach, kiedy prowadzący skup, z uwagi na lepszą opłacalność większego transportu i znając terminy następujących po sobie polowań na sąsiadujących obwodach łowieckich, chce zgromadzić większą ilość zajęcy.

Dla takich wypadków przetrzymywanie zajęcy na przeciąg paru dni jest dopuszczalne, musi być jednak w tym wypadku zachowany bezwzględnie warunek prawidłowego magazynowania. Zające, szczególnie w porze zimowej, doskonale wytrzymują i nie ulegają zepsuciu, jeżeli są magazynowane w pozycji wiszącej, zawieszone za tylne skoki, w odpowiednich odstępach, w suchym, chłodnym, przewiewnym (dobrze wentylowanym) pomieszczeniu. Okres przetrzymywania nie powinien jednak przekraczać 4 — 5 dni, a w cieplejszej porze jesiennej musi być zredukowany do minimalnej konieczności.

Transport poszczególnych partii zajęcy z łowiska do punktu skupu czy zbiornic hurtowych Spółdzielni Jedność Łowiecka, winien odbywać się koleją lub samochodami ciężarowymi i to jedynie na specjalnych rusztowaniach — stojakach, w pozycji wiszącej, zawieszone dostatecznie luźno za tylne skoki. Przewożenie zajęcy luzem, w gromadzie, ułożonych jedne na drugich, jest niedopuszczalne.

Sposób urządzenia rusztowań-stojaków jest dowolny, byle należycie spełniał zadanie. Mogą to być zwykłe krzyżaki, wykonane z żerdzi, połączone drążkiem mieszczącym 10 sztuk zajęcy lub stojaki, wykonane z desek, wreszcie z powodzeniem stosowany może być odpowiednio gruby drut, rozpięty między ścianami wagonu czy samochodu.

Przy zawieszaniu zajęcy na takich urządzeniach, należy zawsze prze-

szych, ubogich w naturalny pokarm terenach, klasa w.eńców była na o-gół słaba.

Tymczasem jelenie oddaliły się znacznie, ale nieustannie rzucane w przestrzeń fanfary tryumfu byka, znaczyły nieomylnie kierunek ich pochodu. Pościg trwał krótko. Kiedy jednak zol.żyłem s ę na tyle, że wśród drzew i listowia podszycia zamajaczyły mi ich sylwetki sprawa poczęła się nagle komplikować. Jelenie posuwały się pod wiatr, powoli, przystając nawet, wciąż jednak poza zasięg-em strzału, przechodząc w czystą, młodą i dość jeszcze zwartą drągowlnę. O przecięciu im drogi, z uwagi na kierunek wiatru, nie mogło być mowy, pozostawało jedynie uparte posuwan e się trop w trop, z bronią gotową do strzału. Płynęły minuty i kwadranse, a odległość między nami ani się zmniejszała, ani zwiększała. W chwilach, gdy byk ryczał, w kilku susach zyskiwałem teren by potem skulony za lada jaką osłoną, śledzić jak s ę oddalał i znów chyłkiem ruszać za nim. Tak zaszliśmy na kraj lasu. Przede mną o jakieś 150 kroków znajdowały się jelenie, za nimi, w tej samej mniej więcej odległości, rozciągała się polana, obramowana z trzech stron zagajnikami.

Epilog, jaki by nie miał być, nadchodził nieuchronnie.

W pewnej chwili w ryku byka podchwyciłem nutę gniewu; stał lekko rozkraczony, z łbem opuszczonym, rwąc wściekle badylami mech zmieszany z p askiem. Frontem zwrócony ku niewidzialnemu przeciwnikowi, który musiałby się znajdować gdzieś z prawej strony, poza mną. Nie dowiem sę nigdy czy rzeczywiście wietrzył rywala, czy też dobiegł go jakiś podejrzany szmer od mojej strony, a kręcący się wiatr zmylił co do kierunku. Nagle zawęszył — i napięty jak struna roznoszącym go podnieceniem—ruszył wyciągniętym kłusem na urojonego wroga.

Strzeliłem go w luce pomiędzy drzewami.

Słońce stało wysoko.

Spojrzałem na zegarek: podchód trwał półtorej godziny.

* * *

Mniej więcej w rok później wędrowałem, poganiany uporczywym kapuśniaczkiem, poprzez mazurską równinę. Do siedziby nadleśnictwa nie było daleko, więc choć aż nogi grzęzły w rozmiękłej glinie, ochoczo rozprężałem mięśnie zdrętwiałe podczas trwającej przeszło dobę podróży. Po dłuższej chwili kluczenia wśród ruin spalonego pałacu i zabudowań folwarcznych, doc-eram już o s-lnym zmierzchu do nadleśnictwa.

Prezentacja, krótka pogawędka i spać.

Na drugi dzień budzę się przy akompaniamenc.e monotonnej skargi rynien, jakoś szczególn.e donośnie brzmiącej w mym poko.ku na poddaszu. Bagaż, przywieziony w międzyczasie z dworca, wyczekuje na dalszą podróż, do której się jednak, zapa-uzmiy w strugi dżdżu, na raz-e nie kwap.ę. Cz∆s schodzi mi na załatwian.u formalności i omawian-u perspektyw łowieckich. Wiadomości z terenu skąpe są i nie śc.słe, niict włąśc.w.e nie w-e ile i jakie byki ryczą. Rykowisko ma się odbywać w dwu rewirach, odległych od sieb-e o 12 km, z których bliższy i rzekomo lepszy jest już obsadzony przez przybyłego o dz.eń wcześn.ej myśliwego, inż. N. ze Szczecina.

Niezbyt optymistycznie nastrojony, korzystając z chw-lowego pizejaśn.enia, wyruszam około południa do przydzielonego mi leśn.ctwa K. W drodze kwadrans słońca, a pół godziny deszczu i tak na zmianę przez cały czas jazdy.

W mijanych wsiach wyczuwa się już tętno nowego, odradzającego się życia. N-e wszystk-e jeszcze gospodarstwa zamieszkałe; nadal smętn e zwisają przewody dotąd nieuruchomionych linii elektrycznych, ale zapobiegliwą rękę nowych gospodarzy znać na każdym kroku.

Leśniczówka nie stanowi wyjątku: jej świeżo bielone ściany jaskrawo odcinają się na granatowym tle otaczającego ją lasu, a ład i dostatek w obejściu wskazują, że gospodarz czuje się tu zadomowiony i dawno już przestał traktować swój pobyt, jako okresowe prowizorium.

Korzystne wrażen e utrwala się w trakcie rozmowy. Leśniczy Józef Ż., młody, niespełna trzydziestoletni poznaniak, okazuje s ę zamiłowanym myśliwym hodowcą, o gruntownym przygotowaniu teoretycznym i wcale bogatej praktyce. Rzeczowo informuje mnie o stanie byków w rewirze, z którego granicami i konfiguracją chce mnie jak najrychlej zapoznać. Ponieważ i ja żywię tylko to jedno pragnienie — wyruszamy niezwłoczn'e.

Pogoda fatalna. Niesiony porywistym wiatrem deszcz zacina po twarzach, a dokuczliwe z mno przenika do szpiku kości. W mdłym świetle chmurnego, jesiennego wieczora, knieja jakby poszarzała. Przygasły płomienne barwy buków, zblakły cytrynowe płatki brzóz, zgubiły swój połysk wciąż jeszcze zielone liście dębu. N ekoszona trawa, zarastająca linie i śródleśne drogi od lat, chłoszcze powyżej kolan nabrzmiałymi wodą kiściami. Gleba trudno przepuszczalna, gliniasta, but wydziera się z niej z charakterystycznym cmoknięć em, które towarzyszy nam na każdym kroku. Spotykamy parę zmokniętych zajęcy, nieco dalej omał się nie zderzamy ze sarną, poza tym w lesie pusto i głucho. Rykowiska nie słychać, tylko szaruga wybija na liściach swój monotonny werbel.

Udając sę na spoczynek raz jeszcze wychodzę na dwór.

Deszcz.

Przed piątą wyrywa mnie z dobrze zasłużonego odpoczynku wrzaskliwy budzik. Otwieram okno — pogoda. Resztki chmur giną na powoli rozjaśniającej się wschodniej połaci nieba.

Jest jeszcze tak ciemno, że przed zanurzeniem się w las wyczekujemy kilkanaście minut. Z łąki powraca kozioł, spostrzega nas, przechodzi w galop.

Powoli, od wierzchołków drzew postępując, spływa na las dzień. Ostrożnie, krok za krokiem zapuszczamy się w knieję. W gęsto podszytej drągowin e ruszamy jakieś sztuki, resztki mroku nie pozwalają stwierdzić czy to sarny, czy jelenie, tylko ich płowa suknia odbija od mijanych w pędzie czarnych kadłubów drzew. Wychodzimy na niew elkie wzniesienie, do którego równolegle biegnie doliną niezbyt szeroką, lecz na dwa kilometry długą, łąka, ściśnięta wysoKop-emym borem. W czerwonej plamie, odbijającej od rozpoczynających żółknąć traw, rozpoznaję przez lornetkę słabego szóstaka. Krótką dyskusję na temat czy warto próbować podejść go bliżej rozstrzyga sam kozioł, wchodząc w zwarty, dębowy zagajnik. Słońce zaczyna przeświecać przez drzewa, lśniąc na mokrym po niedawnym deszczu listowiu. Łąka się kończy, skręcamy na zan edbaną ścieżynę, nikłym śladem wijącą się wśród gęstego liściastego podszycia. Pod nogami chlupie woda. Jeszcze mały wywiad wzdłuż dwudziestoletniej, silnie podkrzesanej dołem świerczyny, w kierunku na majaczącą, n ewielką polanę. Nagły trzask w zagajniku zatrzymuje nas w pół kroku.

Jelen e. Przez dukt wali łania, za nią druga, wreszcie byk. W ułamku sekundy usiłuję ocenić wieniec. S.a-

by. Rzadsze w tym miejscu podszycie pozwala mi śledzić go chwilę jeszcze w drągowinie. Opinii o byku nie zmieniam. Cienkie, krótkie tyki bez korony: ósmak, w najlepszym razie słaby dziesiątak.

Zostawiamy towarzystwo w spokoju i przechodzimy do drugiego, oddzielonego szosą, kompleksu. Z linii skręcamy w las, posuwając się brzegiem głębokiego wąwozu, na którego dnie poszeptuje swarliwie bystry strumyk. Pełno świeżych i dawnych tropów jelenich, powiązanych w regularne, meandryczne ścieżki, zbiegające się na stromym zboczu, którego jeden stok udeptany jest w połowie w płaszczyznę, stratowaną do szczerego piasku jak plaża. Skocznia jeleni. Ich boisko sportowe, miejsce igrzysk i centralny punkt rykowiska, rykowiska, którego wciąż jeszcze nie słyszę, mimo, że ząb przenika dotkliwiej jeszcze niż wczoraj.

Wąwóz wyprowadził nas na skraj lasu, który stromym urwiskiem opada ku rozlewającej się w tym miejscu w jezioro Pasłęce. Robię parę zdjęć, bo krajobraz jest wyjątkowo nęcący i przy tej okazji napotykam świeże, zaledwie przed paru godzinami opuszczone legowisko jelenia. Swąd byka jest jeszcze tak silny, że łowię go bez potrzeby schylania się ku ziemi. Ponieważ nie spotykamy w pobliżu żadnych innych tropów, leśniczy, z dużą dozą prawdopodobieństwa, przypuszcza, że byk ten przywędrował na rykowisko z przytykających lasów nadleśnictwa B.

I znów z lasu wysuwamy się na linię tak zarośniętą, że odróżnia się od otoczenia tylko wyżłobionymi w murawie koleinami. Zbliżamy się do ostoi jeleni w tym rewirze. Nadzieja, nieodrodna siostra każdego myśliwego, znów roztacza nęcące perspektywy, choć aż zegarek wskazuje wpół do dziewiątej, a klasa spotkanego niedawno byka nie rokuje wartościowego trofeum.

Nie daleko uszliśmy, gdy w pewnym momencie idący przodem leśniczy przystanął, przywołując mnie do siebie ruchem ręki. Spojrzawszy we wkazanym kierunku przez lornetkę, dostrzegłem rzeczywiście wśród gęstego podszycia płową plamę. Na pierwszy rzut oka wydało mi się, że to zwalony, na pół okorowany kadłub sosny, potem dostrzegłem ruch, wreszcie kontury zwierza. Ale roztańczone słoneczne plamy, poruszające się w rytmie kołysanych wiatrem gałęzi, dawały tak nieprawdopodobne efekty, że w pewnej chwili byłem pod wrażeniem spotkania z danielami, które jeszcze po wojnie względnie obficie bytowały w tej okolicy. Dopiero gdy obserwowane sztuki w kilku ruchach wydostały się na bardziej otwartą przestrzeń, zidentyfikowałem bez trudu łanię z dobrze wyrośniętym cielęciem.

Ale gdzie byk?

I oto po chwili, jakby pauza ta podkreślić miała efekt jego wystąpienia, ukazał się — on. Przez kontrast z jasną suknią łani wydał mi się prawie czarny. Łeb, utrudzeniem zgięty ku ziemi, zdobił wysoki wieniec, ustawicznie jednak przesłaniany coraz to innymi krzewami. Byk leniwie przesunął się tu i tam po kilkanaście kroków i nieoczekiwanie zaryczał. Nie był to jednak bojowy zew węszącego rywala samca, lecz raczej pobłażliwe, nieco znudzone gderanie, skierowane pod adresem rodziny, zakończone tłumionym ziewnięciem. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że mam przed sobą układającego się do poobiedniej drzemki podtatusiałego ojca rodziny, który, z lekka przesłaniając usta dłonią, wysyła małżonkę z dzieckiem na spacer, udzielając im ostatniej admonicji: „a nie oddalajcie się zbyt daleko..."

Prawie bezpośrednio po tym byk się położył. Skuleni na ziemi oczekiwaliśmy dalszego rozwoju wypadków. Minuty płynęły, nic jednak nie zwiastowało rychłej zmiany sytuacji, tylko łanie odsunęły się kawałek i poczęły mi ginąć z oczu.

Wtedy zdecydowałem się na podchód. Oddawszy lornetkę leśniczemu, ze sztucerem w ręku, nie tracąc ani na chwilę byka z oczu, podczołgałem się pod osłonę najbliższego grubego drzewa. Stąd, już tylko wpół schylony, przesunąłem się do następnego. Pozostawało mi jeszcze do przebycia dwa, trzy kroki, gdy byk niespodziewanie powstał. Wparłem się całym ciałem w zbawczą osłonę drzewa w przekonaniu, że spłoszony odchodzi, a lunetą sztucera nerwowo szukałem dogodnej do strzału luki. Był to jednak na szczęście fałszywy alarm. Byk, może zaniepokojony nadmiernym oddaleniem łań, przesunął się równolegle do mnie kilkadziesiąt kroków i pokręciwszy się chwilę w miejscu, położył się ponownie w kępie paproci, z których wystawały mu tylko świece, łyżki i wieniec w całej okazałości. Nieco skonster-

Rys S. Rozwadowski



nowany trwałem w miejscu, od czasu do czasu podnosząc do twarzy sztucer, celem przyjrzenia się przez lunetę porożu. Był o wysokich, ciemnych i grubych tykach, zakończonych trójdzielną koroną, był niewątpliwie wart strzału.

Tak minęło piętnaście, może dwadzieścia minut, nim znów podjąłem próbę zmniejszenia dzielącej nas odległości. Gdy się powiodła, po chwili bezruchu puściłem się w najdłuższą, jakieś trzydzieści kroków liczącą drogę do najbliższego buka. Liczyłem się z tym, że byk dostrzeże mnie i byłem zdecydowany, gdy tylko powstanie, natychmiast z każdej pozycji strzelić. Jednak i ten odcinek pokonałem, nie wywołując z jego strony żadnej reakcji, mimo że w połowie drogi jakaś skryta w mchu gałąź nazbyt głośno pękła mi pod stopą. Od buka było zaledwie parę kroków do grubej brzozy, poza którą rozciągały się już tylko krzaki. Pokonać tę przestrzeń było fraszką.

I znów płynęły minuty, w czasie których nic się nie działo. Coraz odważniej i dłużej śledziłem go przez lunetę.

Byk spał. Powieki same mu opadały, unosił je z trudem i znów zapadał w drzemkę, skłaniając coraz niżej uwieńczony łeb. Złudna była jednak twardość tego snu. Odległe kwilenie, zataczającego kręgi w błękicie myszołowa, zbudziło całą jego wrodzoną czujność. W chwilę później czy to jakiś mój gwałtowniejszy ruch, czy też poświst materiału wiatrówki, którą nieopatrznie otarłem o chropowaty pień brzozy, poderwał go na nogi. Dzieliło nas najwyżej osiemdziesiąt kroków. Prysnął czar podpatrywanej w swych tajnikach przyrody i byłem już tylko żądnym łupu łowcą. Gdy huk wystrzału targnął powietrzem, knieja zamarła.

Byk leżał opodal, wsparty o zwalone wiatrem drzewo. Wyglądał, jakby podjął na nowo przerwany sen. Kiedy podszedłem do niego las tętnił na powrót intensywnym życiem.

W dwa dni później spotkałem osieroconą łanię. Umizgał się do niej ogniście młody, przyszłościowy dwunastak, ona zaś przyjmowała jego zaloty coraz łaskawiej.

Nie wiem czemu zrobiło mi się nagle przykro...

J. Jastrzębiec Szczepkowski

LEOPOLD PAC POMARNACKI

Na temat literatury łowieckiej

Niedawno w całym kraju zakończyły się imprezy i uroczystości poświęcone rozwojowi czytelnictwa oraz udostępnieniu dobrej książki szerokim masom naszego społeczeństwa. Na wystawach księgarskich, jak również w pomysłowych kioskach ulicznych, oglądaliśmy nasz dorobek wydawniczy ostatnich lat powojennych i musieliśmy przyznać, że prezentuje się on dostatnio, nawet okazale. Nie od rzeczy więc będzie przy tej okazji zanalizować nasze osiągnięcia w tej dziedzinie i na niwie najbardziej nas obchodzącej, mianowicie na niwie łowieckiej.

Od szeregu dziesiątków lat zżyliśmy się z opinią, że polska literatura łowiecka, liczebnie biorąc, jest bardzo uboga, choć posiadała szereg wybitnych autorów naukowców i beletrystyków, których zazdrościły nam kraje o najwspanialszym piśmiennictwie łowieckim. Opinia ta była częściowo słuszna, gdyż ilość książek prawdziwie myśliwskich, wydawanych w języku polskim do chwili wybuchu ostatniej wojny, wynosiła zaledwie kilkaset tomów, a dodając do tego jeszcze książki dotyczące pośrednio tylko łowiectwa, jak np. powieści o zwierzętach czy zawierające w swej treści jeden lub więcej opisów jakiegoś polowania — cyfrę ich możemy podnieść do paru tysięcy tomów, co w porównaniu np. z literaturą wydaną w języku niemieckim, jest ilością bardzo nikłą. Tym niemniej mieliśmy własne dobre dzieła łowieckie i własne księgozbiory z tej dziedziny.

Po ostatniej wojnie sytuacja zmieniła się radykalnie. Okupant zniszczył celowo wiele bibliotek miejskich, państwowych i prywatnych, sporo ich zginęło w płomieniach, w burzonych w czasie działań wojennych miastach czy dworach, tak że w chwili obecnej pozostały tylko tu i ówdzie jakieś żałosne resztki księgozbiorów, najczęściej prywatnych, niedostępnych dla ogółu czytelników — słowem można nawet zaryzykować powiedzenie, że dorobek wieków w dziedzinie polskiej literatury łowieckiej został zniszczony niemal doszczętnie.

Stoimy dziś wobec ruiny wspaniałego gmachu, który musimy odbudować od podstaw. Bo współczesny myśliwy nie może obejść się bez praktycznego podręcznika i dobrych, z talentem napisanych powieści czy wspomnień łowieckich, które „bawiąc — uczą". Głód książki staje się u nas coraz wyraźniejszy, nie możemy więc być obojętni i na głód książki myśliwskiej, zwłaszcza obecnie, w dobie przeprowadzonych w całym kraju egzaminów łowieckich.

A tymczasem na tym odcinku naszej pracy organizacyjnej sytuacja nie jest wcale różowa. Według artykułu kol. Mniszek Tchorznickiego, pt. „Zestawienie prac łowieckich, wydanych w okresie 1939 — 1947 r.", drukowanego w Kalendarzu Myśliwskim na rok 1948, w okresie od roku 1940 do 1947 ukazało się zaledwie 47 książek i broszur, z czego naprawdę na miano myśliwskich zasługuje tylko 14, z tego 6 prac fachowych i 8 beletrystycznych, niejednokrotnie cieniutkich odbitek z jakichś czasopism. To jest cały nasz dorobek powojenny, to są te fundamenty, na których mamy budować gmach literatury łowieckiej. Nikłe to są fundamenty i kruche.

Organizacja nasza dysponuje już dziś pewnymi zasobami pieniężnymi, bratnia spółdzielnia Jedność Łowiecka posiada także własny fundusz wydawniczy, ale wydawnictw tych jakoś nie widać. Mówi się zazwyczaj, że myśliwi polscy nie chcą nic czytać, a więc nie ma sensu drukować dla nich żadnych książek. Nie wiem czy pogląd taki jest słuszny. Łowiectwo Krawczyńskiego rozeszło się jednak w sporej ilości egzemplarzy, pomimo że cena tej książki jest dość wysoka. Nie można, przypuszczam, tego powiedzieć o wspomnieniach Danilczuka w opracowaniu Z. Kowalskiego, gdyż książki te może nie zainteresują słabo piśmiennego rolnika ani rzemieślnika miasteczkowego, którego to pokroju myśliwych mamy dziś 80 %. Dla nich alfą i omegą w łowiectwie jest zając a nie Kraj Ussuryjski i pijatyki carskich oficerów. Zresztą i te książki nie zostały wydrukowane z funduszów łowieckich.

Mam wrażenie, że dotychczasowy „letarg" zakończy się szczęśliwie i PZŁ oraz Jedność Łowiecka przystąpią nareszcie do drukowania prac łowieckich. Akcja ta musi być jednak planowa, oparta na dobrze przemyślanych wymogach naszego społeczeństwa myśliwskiego, a nie wydawaniem przygodnie zakupionych dzieł. Jeżeli dysponujemy ograniczonymi tylko środkami materialnymi, to tym bardziej zwrócić należy uwagę na to, by spod prasy drukarskiej wychodziły tylko rzeczy naprawdę wartościowe.

Akcja wydawnicza winna pójść w dwóch zasadniczych kierunkach, tj. obok wydawania prac nowych, należy też wznowić druk najlep-

szych książek przedwojennych, nie spotykanych już na rynku księgarskim. Rzeczy te będą wymagały niekiedy drobnych przeróbek, dostosowanych do obecnych ram łowiectwa, lecz niektóre z nich mogą być przedrukowane nawet w dosłownym brzmieniu, gdyż nic nie straciły ze swej aktualności.

Nie myślę naturalnie, o wydawaniu zbyt wielu dzieł przedwojennych, gdyż nie posiadamy na to specjalnych funduszów, a po drugie nie wszystkie dawne książki były tak wartościowe, że warto je przedrukować. Jest jednak kilka prac, których ponowne ukazanie się na rynku księgarskim byłoby ze wszechmiar pożądane, a nawet konieczne, bo nie ma widoków na to, by w czasach dzisiejszych mógł ktoś podobną rzecz napisać.

Przechodząc z kolei do omówienia tych książek, na pierwszym miejscu musimy postawić pracę Ludwika Niedbały: „Z łowisk wielkopolskich", która jest nadal bardzo dobrym podręcznikiem łowiectwa i podręcznikiem — jeżeli można się tak wyrazić — etyki myśliwskiej. Każdy młody wyznawca św. Huberta winien bezwzględnie zaznajomić się z tą książką i dlatego przedruk jej uważam za konieczny. Ze względu na potrzebę uprzystępnienia tego dzieła najszerszym rzeszom myśliwych, należy je wydać nawet bez tablic ilustracyjnych, co wydatnie obniży cenę książki.

Z innych książek zasługują całkowicie na ponowne wydanie: Włodzimierza Korsaka „Rok myśliwego", po dokonaniu potrzebnych przeróbek, oraz „Venator" tegoż autora. Ta skromna książka, odpowiednio przerobiona i rozszerzona, może oddać każdemu początkującemu myśliwemu nieocenione usługi, jako podręczne vademecum współczesnego nemroda.

Jerzego Dylewskiego „Lis", po opuszczeniu rozdziału o truciu tej zwierzyny, jest cenną w dobie dzisiejszej książką, gdyż zainteresowanie myśliwych lisem ostatnio coraz bardziej wzrasta, a nasza literatura „lisia" jest więcej niż skromna.

Władysława Gürtlera „W polu i w lesie" — praktyczny skrót wskazówek hodowlanych.

Jeżeli chodzi o beletrystykę, którą wartoby przypomnieć obecnym czytelnikom, to zwrócę uwagę przede wszystkim na: Stanisława Zaborowskiego „W sercu kniei" — Juliana Ejsmonda „Moje przygody łowieckie" — Władysława Burzyńskiego „Z Karpat".

Ze względu na dający się odczuć ogromny brak literatury fachowej, pierwszeństwo przy wydawaniu prac łowieckich muszą mieć prace naukowe i wszelkiego rodzaju podręczniki, a dopiero w drugiej kolejności - - należy pomyśleć o wspomnieniach czy nowelach myśliwskich. Dotąd jednak ukazują się przeważnie utwory beletrystyczne, które nie mogą przecież spełnić tej roli, jaka przypada w okresie powojennym polskiej książce łowieckiej.

Akcja wydawnicza naszych organizacyj łowieckich musi pośpiesznie nawrócić na drogę ścisłej planowości. Nie czas bowiem teraz wydawać książki o polowaniach na Cejlonie, Formozie czy Kamczatce, gdy nie mamy porządnej monografii szaraka, krzyżówki czy kuropatwy. Bowiem dawne, przedwojenne prace Wiktora Stephana są już przestarzałe, trzeba je skorygować oraz uzupełnić, byśmy mieli wreszcie fachowe dzieła o zwierzynie, która stanowi przecież fundament naszej gospodarki łowieckiej. A o tym jakoś nikt dotąd nie pomyślał.

O ile Polski Związek Łowiecki ujmie wreszcie inicjatywę wydawniczą w swoje ręce, niewątpliwie znajdą się potrzebni autorzy i znajdą się wartościowe prace, leżące dotąd w ukryciu z powodu niemożności ich wydania. Spółdzielnia Jedność Łowiecka, spółdzielnia Las i PZŁ mogą z powodzeniem dostarczyć społeczeństwu wszelkich potrzebnych książek łowieckich i w ciągu paru lat założyć trwałe podwaliny pod przyszły rozwój polskiej literatury łowieckiej.

Leopold Pac Pomarnacki

Od redakcji. Plan wydawnictwa Łowiec Polski ujęty został w ścisłe formy, a to musi znaleźć wyraz i w akcji wydawniczej książkowej PZŁ.

Inż. TADEUSZ PASŁAWSKI

»Strzelaczom« ku rozwadze

Aczkolwiek wiedz, że nie o Tobie, Kolego, będzie tu mowa, to jednak w przekonaniu, że chcesz zrobić wszystko co tylko leży w Twej mocy, dla poprawy stosunku myśliwych do otaczającej nas przyrody, proszę przeczytaj poniższe słowa, a wziąwszy je sobie gorąco do serca, czyń, co Ci obowiązek myśliwego każe.

Sprawa poniżej poruszona nie jest nowa. Łowiec Polski w okresie do września 1939 r. omawiał kwestię tę kilkakrotnie; przykładowo podać można: nr 17 (865) z dnia 10 VI 1937 r. — „O etyce myśliwskiej słów kilka" J. Bleszyński; nr 25 (900) z dnia 1 IX 1938 r. — „Przeciwko lekceważeniu prawa łowieckiego i etyki myśliwskiej" Wł. Zabiełło itd.

Chcę raz jeszcze mówić o tej sprawie z następujących względów: 1° — bardzo wielu polujących dziś myśliwych nigdy w ręku nie miało przedwojenego Łowca Polskiego. 2° — w powołanym wyżej artykule Wł. Zabiełło pisze: „Ponieważ mówi się już dziś o blisko 30% zrzeszonych w Polskim Związku Łowieckim myśliwych, uważam, że jest to chwila odpowiedniejsza od innych, aby powyższe kwestie znów na stół wyłożyć, aby przypomnieć i w tym kierunku moralny obowiązek myśliwego z PZŁ — stania na straży prawa i etyki myśliwskiej wobec współtowarzyszy polowań, no i... wobec siebie samych". A ponieważ dziś jest 100% myśliwych zrzeszonych w PZŁ, wydaje mi się sprawa jeszcze bardziej aktualne. 3° — przed kilku dniami byłem świadkiem zabicia na wodzie przez „myśliwego" czteroma kolejnymi strzałami czterech perkozów, których ów „świetny strzelec" nawet nie usiłował wydobyć z wody, zdając sobie zresztą sprawę już w chwili strzelania ,że nie wydobędzie — co zwróciło moją uwagę na aktualność tematu.

Sądzę, że sprawca tego mordu nie potrafiłby odpowiedzieć na pytanie, po co właściwie zabił te ptaki? dla popisania się celnymi strzałami?, dla „satysfakcji" zabicia?, może z nudów? Tu dochodzimy do sedna rzeczy, o której chcemy mówić. Cytowany wyżej artykuł Wł. Zabiełły, wyliczający cały szereg „gorszących przewinień", tak o tym mówi: „A poza tym najbanalniejszym, całkiem jawnie uprawianym jest strzelanie „do wszystkiego — w sezonie dozwolonym, a jakże!"

W województwie, na którego terenie miał miejsce omawiany wypadek, wszyscy członkowie PZŁ należą do kółek łowieckich; wierzę również, że każde kółko posiada regulamin polowań, oparty na projekcie regulaminu wzorcowego, podanego w numerze 16 (936) z 15 VIII 1939 roku Łowca Polskiego, który to regulamin mówi w § 6: „Członkowie kółka winni ochraniać bogactwa rodzimej przyrody. Nie wolno im k a l a ć się zbędnym mordem i strzelać do zwierząt bez określonej potrzeby i celu, nie wiedząc potem, co z nimi zrobić".

Wydaje mi się więc słuszne w wypadkach podobnych (jeśli rzecz się

dzieje nie na polowaniu kółkowym, bo wtedy sprawa jest prosta), aby gospodarz planowania, nie tylko jak najostrzej zareagował na podobną strzelaninę bezpośrednio, ale aby również zawiadomił macierzyste kółko takiego strzelca, dla wyciągnięcia przewidzianych regulaminem konsekwencji. Tyle o środkach „karnych" dla „strzelaczy".

Mam jednak nadzieję, że większość tych „gorszących przewinień" powstaje wskutek braku zastanowienia się nad tą kwestią. Zwracanie uwagi takiemu myśliwemu, że nie zasługuje na miano myśliwego ten, kto nudzi się na polowaniu, nie mając do czego strzelać; że myślistwo nie polega tylko na strzelaniu i zabijaniu; że celność strzału do celu nieruchomego można wykazać na tarczy, a do celu ruchomego na strzelnicy rzutkowej—zmniejszy ilość „strzelaczy" do minimum i nie zajdzie potrzeba stosowania sankcji karnych.

Teraz, kiedy rozpoczęliśmy nowy sezon i będziemy przez parę miesięcy wyruszali często w teren, musimy zastanowić się nad skutkami bezmyślnego strzelania do wszystkiego, co tylko nawinie się pod lufę i stwierdzić, że w ten sposób możemy wyniszczyć masę ptaków i zwierząt pożytecznych lub nawet pod względem pożyteczności „obojętnych", lecz wcale nie obojętnych dla zagadnienia całości przyrody i jej ochrony. A któż jest bardziej powołany i z o b o w i ą z a n y do krzewienia idei ochrony przyrody i postępowania zgodnie z jej zasadami, jak właśnie myśliwy, członek Polskiego Związku Łowieckiego.

Uwagi na ten temat kończę apelem znów zaczerpniętym z artykułu J. Błeszyńskiego z 1937 roku: „A zatem towarzysze myśliwi, zanim w polu czy kniei znajdziemy się ze strzelbą, zawsze zagadnieniom stosunku do zwierzyny i do całej przyrody odrobinę czasu poświęćmy".

Inż. T. Pasławski

JERZY BŁESZYŃSKI

To mój zając!

Te trzy słowa zatruwają często najmilszy dzień spędzony w kniei czy w polu, przy czym, oczywiście zatrucie potęguje się wielokrotnie, kiedy w miejsce zająca wstępuje lis lub dzik.

Jeżeli pod względem gospodarczym, przy najszerszym ujęciu tego zagadnienia, obojętne jest czyj jest zając, lis lub dzik, o tyle momenty psychiczne doznają przy tych trzech słowach zasadniczych obrażeń.

Jeżeli gospodarczo mamy odstrzelić w łowisku X zwierzyny, to obojętne jest, któremu z uczestników łowów przypadnie w udziale ubicie tego czy innego zajączka. Skoro jednak poza względami gospodarczymi staramy się wydobyć z łowów wartości uczuciowe, jeżeli mają one być wielkim radosnym przeżyciem, to trzebaby dążyć do wyzbywania się zjawisk psychicznych, mących harmonię całego zagadnienia.

„To mój zając!"

Ten mój zając, to sześćset czy siedemset złotych, jeszcze żywe, jeszcze ruszające się, ale ostatni śrut napędza owe złotówki do kieszeni. 99 % zwierzyny pada na polowaniach, w których bierze udział większa ilość myśliwych. A więc polujemy wspólnie i wspólnym winno być dążenie do wydobycia z łowów wartości gospodarczych i wartości uczuciowych, czyli do zasady wspólnej gospodarki w łowisku, szeroko ujętej. Pewna część tej gospodarki jest już wspólnie wykonywana. Kółka myśliwskie dzierżawią łowiska, opłacają straż łowiecką, łożą na żywienie zwierzyny, tępienie szkodników itd.

Zaczyna się sezon, zaczynamy polować, i o dziwo!, zamiast dalszej wspólnej gospodarki, grzmi raz po raz: „T o m ó j z a j ą c!" Rozpoczyna się wyścig do zająca, aby zagarnąć do swojej kieszeni jak największą ilość złotówek. Daleki jestem od twierdzenia, aby ten wyścig był powszechnie obowiązującą regułą, ale bardzo mi się zdaje, że nurtuje on głęboko i te trzy słowa „T o m ó j z a j ą c!" są jednak fałszywą nutą, której brzmienie psuje zbyt często harmonię łowów. A przecież jak łatwo jest usunąć zasadniczo tę nutę przez wprowadzenie formułki: ubita zwierzyna jest nadal własnością kółka myśliwskiego.

Przecież to nie jest nic nowego pod słońcem, przecież to jest formułka tak związana z prawidłową gospodarką łowiecką, że stosowanie innej, dla przyzwyczajonych do niej, wydaje się dziwnym zacofaniem.

Stosowanie tej formułki gospodarczo daje wielki plus: sprawiedliwe rozłożenie ciężarów na wszystkich członków kółka; żywy jeszcze zając nie będzie widziany okiem poniektórych polowańczyków, jako żywe, umykające ku sąsiadowi kilkaset złotych.

I odetchniemy wtedy psychicznie, gdyż okrzyk „T o m ó j z a j ą c !" będzie cichł, a potęgować się będzie dążność do harmonijnego, wspólnego wykonywania łowów, będących dla myśliwego przeżyciem długo i mile wspominanym.

Sądzę, że warto wprowadzić za obowiązującą zasadę: ubita zwierzyna jest własnością kółka myśliwskiego.

TADEUSZ JĘDRZEJOWSKI

Ostatni śrut

Pamiętam nauki śp. Ojca, gdym jako mały chłopiec, dziedzicznie żyłką myśliwską obciążony — wstępował w szranki Św. Huberta.

„Ostatni śrut do drobnej zwierzyny przesądza jej przynależność do myśliwego — takie przyjęte prawo, ale niech cię Bóg broni, byś kiedyś do takiego postrzałka strzelił, w tej tylko intencji, by ci go na podsawie tego prawa — przysądzono. Splamiłbyś swój honor i etykę myśliwską. Wolno ci strzelić, owszem, by skrócić cierpienie zwierza, męczącego się, ale po mocie weź zająca i oddaj temu, co go strzelał a nieraz i przeproś, żeś to



zrobił, gdyż zając czy lis i tak już kończył. Tyle orientacji myśliwy mieć musi, by odróżnić czy strzał jego do postrzałka był konieczny, gdyż inaczej uszedłby i przepadł, czy też był strzałem dobijającym. Jeśli dobijającym — zawsze oddaj. Jaką wartość miałby dla ciebie taka zdobycz i jakby twoje sumienie myśliwskie wyglądało?"

Wierny jestem tej ojcowskiej nauce i z górą trzydzieści lat ją wyznaję. Cóż się jednak daje dziś zauważyć? Spotkamy, niestety, coraz częściej „myśliwych", czatujących z pasją na sposobność strzału dobijającego, tylko po to oddanego, by bezpośrednio po nim ukłonić się sąsiadowi i powiedzieć zemocjonowanym głosem: „Przepraszam — ostatni śrut — zając mój". Nie patrzy ten nemrod, że sąsiad pierwszym złym strzałem, bardzo bliskim, połamał zającowi wszystkie nogi i chcąc go dobić, miał niewypał. Nie widzi, że pechowaty strzelec spieszy z przeładowaniem strzelby — dobiega i pod jego nogami 2 razy strzela dogorywającego zająca.

„Ostatni śrut — zając mój!".

Nie chodzi tu o zająca — ale czy to poważne i etyczne? Czy takich zwyczajów nie należy tępić? A cóż się dzieje, jeśli chodzi o lisa? Ile to strzałów pada nieraz do nieboszczyka?

Uważam, że te niegodne myśliwego postępki powinny być w kółkach łowieckich tępione, a wszechstronna etyka łowiecka powinna być tematem częstych i szerokich dyskusyj, popartych żywymi przykładami, z własnych polowań. Tylko najwyższa i wypolerowana etyka u wszystkich kolegów, da nam możność czerpania z polowania tego, co nam ono dać powinno.

Zabrze, listopad 1948 r.

T. Jędrzejowski

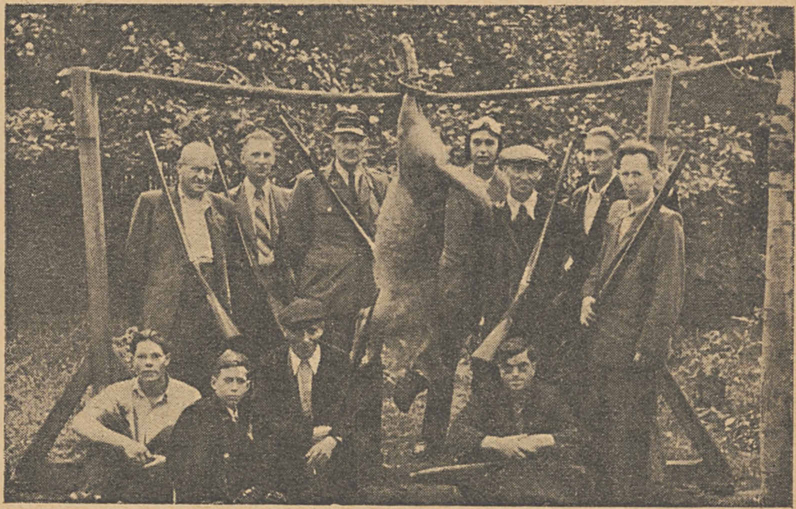
Dropie w Polsce

Od paru tygodni można było obserwować w okolicy Gostynia Poz na terenie gromad Brzezie i Goła, w odległości 3—5 km od miasta. 3 sztuk dropi, które stale przebywały na tych terenach. Dopiero teraz po żniwach gdzieś wyniosły się — przypuszczalnie w mniej zaludnioną okolice

Adam Jasiewicz

Porady prawne

Wrocławska Wojewódzka Rada Łowiecka komunikuje, iż zorganizowała dla członków Polskiego Związku Łowieckiego, w siedzibie Rady, bezpłatne porady prawne w sprawach związanych z łowiectwem, których udzielać będzie członek Wrocławskiej Wojewódzkiej Rady Łowieckiej. kol. mgr Stefan Sochocki, w poniedziałki w godzinach od 17 do 18.



Grupa myśliwych z upolowanym wilkiem dnia 14.8.1949 r. na terenie N-ctwa Państw. — Ostrowiec Świętokrzyski.

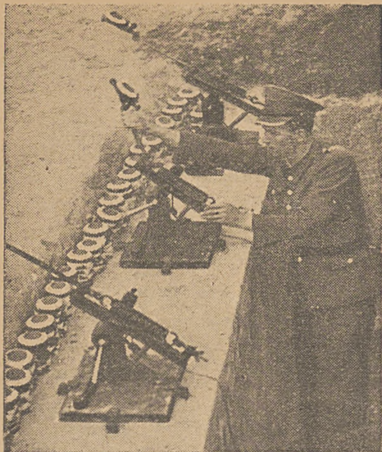
Myśliwy który wilka upolował stoi obok wilka (w cyw. czapce), z drugiej strony stoi nadleśniczy miejscowy.

Ogólnokrajowe Konkursy Wyżłów

W dniach 24 i 25 września br. odbyły się na terenach Rożniat koło Kruszwicy Ogólnokrajowe Konkursy Wyżłów. W zawodach brały udział psy kontynentalne i angielskie.

Z psów angielskich pierwsze miejsce zajął setter ang. „Tumry" z Łodzi; następnie pointerka „M. Flapper" — kol. Lange z Mrokowa koło Warszawy, pointer „Dzip" — kol. Dutkiewicz z Warszawy i pointerka „D. Diana" — kol. Sobańskiego z Warszawy.

Z wyżłów kontynentalnych dwa pierwsze miejsca zajęły szorstkowłose suczki „Kory" kol. kol. Stawickiego i Szambelanczyna. Wśród psów z Hubertówki wyróżnił się „Dar" — kol. Rulskiego i „Belbas" — kol. Jastrzębskiego.



Otwarcie strzelnicy rzutkowej w Radomiu

W dniu 18 lipca br. odbyło się w Radomiu uroczyste otwarcie strzelnicy rzutkowej w obecności przedstawicieli miejscowych władz i zaproszonych gości.

Po krótkim przywitaniu zebranej publiczności przez kol. Tadeusza Obutelewicza, przewodniczącego Wojewódzkiej Komisji Strzelań Myśliwskich, oddał strzał honorowy kol. Stanisław Wieczorek, prezydent miasta Radomia.

Następnie dwie miejscowe czteroosobowe ekipy zawodników rozpoczęły strzelanie konkursowe, które zakończyło się wynikiem nierozstrzygniętym.

Indywidualnie pierwsze cztery miejsca zajęli koledzy:

1. Edward Czubiński 15/20 rzutków.
2. Bronisław Plewiński 12/20 rzutków.
3. Jan Jarosz 11/20 rzutków.
4. Wojciech Jamka 11/20 rzutków.

Po zawodach ekip rozpoczęło się strzelanie gości, które przeciągnęło się aż do zmroku.

Zawody i indywidualne strzelania sędziowali koledzy: Tadeusz Dzierżyński, Michał Sawicki i Zygmunt Święcicki.

Otwarta strzelnica w Radomiu jest jedyną na terenie województwa kieleckiego. Została zbudowana przez samych kolegów myśliwych, członków miejscowych kół. Prócz kosztów zakupu rzutni nie poniesiono na ten cel żadnych innych wydatków

Najwięcej przyczynili się do powstania strzelnicy koledzy: Kazimierz Kwitniewski, Adam Godula i inż. Tadeusz Pasławski. Wszyscy oni nie szczędzili sił i czasu, aby dopiąć celu.

Otwarta strzelnica znajduje się na dawniejszym placu ćwiczeń wojskowych, położonym blisko miasta. Wyposażona jest na razie w trzy rzutnie i cieszy się dużą frekwencją strzelających. Każde strzelanie ściąga wielu myśliwych i widzów, którzy z uwagą śledzą jego przebieg.

Dążeniem Wojewódzkiej Komisji Strzelań Myśliwskich jest zorganizowanie podobnych strzelnic i w innych ośrodkach myśliwskich województwa kieleckiego

T. Obutelewicz

Zawody strzeleckie w Gostyniu

Staraniem Powiatowej Rady Łowieckiej odbyły się w Gostyniu (Poz.) pierwsze po wojnie zawody strzelectwa myśliwskiego, połączone z zabawą ogrodową. Złożyły się na nie:

a) strzelanie próbne do rzutków po 3 strzały,

b) strzelanie seryjne do rzutków po 10 rzutków,

c) strzelanie do stojącego dzika i rogacza z broni małokalibrowej na 50 metrów.

d) strzelanie z wiatrówek dla starszych i młodzieży,

Impreza cieszyła się powodzeniem, a zwłaszcza strzelanie do rzutków zjednało wielu sympatyków.

Wyniki osiągnięto następujące:

W punkcie a) brało udział 31 zawodników; w punkcie b) — 16; w punkcie c) — 175; k punkcie d) — 160, w tym 70% młodzieży.

W strzelaniu seryjnym do rzutków najlepsze miejsca zdobyli:

a) Gorynia Edmund Leszno 10/10,
b) Jankiewicz Zbigniew Gostyń 10/10
c) Cążyński Józef Leszno 10/10,
d) Grzempowski Edmund Podrzecze 10/10,
e) Łuszczał Teodor Piaski 9/10.

W strzelaniu z broni małokalibrowej nagrody zdobyli: do rogacza:

I) Tomczak Marian, Gostyń.
II) Cążyński Józef, Leszno
III) Adamczyk Cezsław, Gostyń.

Do dzika:

I) ppor. Kaczorowski S. P. Gostyń
II) Por. Maksymiuk Teodor, Gostyń.
III) Jankiewisz Kalikst, Poznan.

Z wiatrówek jak już wspomniano, strzelało 160 zawodników i rozdano 9 nagród, z tego 5 przypadło młodzieży do lat 16

Kalendarzyk myśliwski

W myśl ustawy łowieckiej z dnia 3 grudnia 1927 r. i rozporządzenia Ministra Leśnictwa z dnia 22 marca 1949 r. (Dz. U. R: P. nr 21) polowanie na następujące zwierzęta łowne jest dozwolone (pole białe), — wzbronione (pole czarne):

RODZAJ ZWIERZYNY	X	XI	XII
Jelenie byki		■	■
Sarny rogacze w województwach Olsztyn. Poznań. Toruń		■	■
Sarny rogacze w pozostałych województwach	■	■	■
Dziki			
Borsuki			■
Wydry			
Kuny leśne (tumaki)	■		
Zające szaraki	■ 26		
Bażanty, koguty w województwach Łódź. Poznań. Wrocław, Szczecin	■ 26		
Bażanty koguty w pozostałych województwach	■	■	■
Kuropatwy w województwach Białystok. Lublin, Rzeszów	■	■	■
Kuropatwy w pozostałych województwach		■	■
Jarząbki			
Przepiórki			
Dzikie kaczki i kaczory			
Dzikie gęsi			
Dzikie gołębie			
Słonki			
Bataliony			
Kwiczoły i paszkoty			
Gawrony, kruki, kawki i drapieżniki skrzydlate, z wyjątkiem krogulców i gołębiarzy			
Jastrzębie gołębiarze, krogulce, wrony siwe i sroki			
Króliki			
Wilki, lisy, kuny kamionki, tchórze, gronostaje i łasice			

Z literatury ŁOWIECKIEJ

„Puszcza Kampinoska parkiem narodowym“ Z Kowalski, „Stolica“ nr: 34, sierpień 1949:

Postanowienie Rady Naczelnej Odbudowy m. st. Warszawy włączenia do planu odbudowy, w ramach Warszawskiego Zespołu Miejskiego, zagospodarowania podwarszawskich obszarów leśnych — postawiło sobie zadanie przebudowy Puszczy Kampinoskiej. Sprawie tej poświęca kol. Z. Kowalski treściwy artykuł w organie Rady Naczelnej Odbudowy pt. „Stolica“, z którego czerpiemy dane, obrazujące wartość dla mieszkańców Warszawy zrealizowania tego zamierzenia.

Puszcza Kampinoska obejmuje trzy nadleśnictwa: Laski, Kromnów i Kampinos, o łącznej powierzchni 20 tysięcy hektarów. Zupełnie specyficzne warunki gleby, krajobrazu i rozmieszczenia drzewostanu wróżą, iż powrót tego kompleksu leśnego do stanu puszczańskiego jest rzeczą zupełnie realną. Widzimy bowiem w Puszczy Kampinoskiej zarówno suche, żywiczne bory sosnowe, jak cieniste dąbrowy, podmokłe olszyny, brzozowe partie na wrzosowiskach jak grabowe mroczne gąszczary, nawet puszczańskie olszy, szumiące górą świerkami, osikami i jesionami, a dołem przetykane łozą i trzciną.

Tak różnorodne drzewostany, podszyty i runo leśne pozwolą, by puszczański charakter Kampinosu podkreślony został przez wprowadzenie doń z powrotem fauny, z której puszcza ta słynęła przed wiekami. Zabiegi w tym kierunku zostały już podjęte. Ministerstwo Leśnictwa rozważa wprowadzenie do puszczy łosia, powierzając przeprowadzenie odpowiednich studiów największemu znawcy tej sprawy, kol. Wł. Korsakowi. Polski Związek Łowiecki nosi się z zamiarem przeniesienia do Kampinosu kilkudziesięciu danieli ze swego poznańskiego łowiska hodowlano-doświadczalnego w Mojej Woli. Wprowadzenie do puszczy drobnej zwierzyny będzie już drobiazgiem, w miarę powrotu tego terenu do stanu dawnego.

Posiadanie tuż o miedzę od stolicy parku narodowego, parku radości i zdrowia, zwiąże rzesze pracujące Warszawy mocno i na zawsze z Puszczą.

Artykuł ilustrują bogate zdjęcia z natury, których udzieliła tygodnikowi „Stolica“ redakcja Łowca Polskiego.

J. Gieysztor.

Otakar Kokes: MYSLIVECKA PECE O ZVER (Hodowla zwierzyny łownej), nakładem Studentske Knihtiskarny w Pradze, str. 244, cena 250 koron.

Już w drugim wydaniu wyszedł praktyczny, przejrzyście ułożony podręcznik o hodowli zwierzyny łownej Otakara Kokesa, autora popularnych monografii o zającu (omawianej na łamach Łowca Polskiego kilka miesięcy temu) i o kuropatwie, który daje tutaj czytelnikowi pełny obraz wszystkich spraw i rzeczy, odnoszących się do tak wyraźnie wyodrębnionej dziedziny łowiectwa, jaką jest i staje się dzisiaj ochrona i hodowla.

Dla zorientowania się w treści książki podamy tytuły ważniejszych rozdziałów: degeneracja a odświeżanie krwi; zwalczanie przyczyn chorób; sól w łowisku; dokarmianie zwierzyny; pastwiska i miejsca lęgu; w trosce o przychówek; chwytanie, przewożenie i wysadzanie zwierzyny; ochrona zwierzyny przed człowiekiem, drapieżnikami i klęskami żywiołowymi; a wreszcie — konsekwentnie przeprowadzone i wynikające z założeń hodowlanych — zasady racjonalnego myślistwa, odstrzału zwierzyny płowej, czarnej, zająca, bażanta i kuropatwy, ze szczególnym uwzględnieniem polowań na ptactwo wodne i błotne.

Mówiąc o dożywianiu zwierzyny, zwłaszcza w łowiskach uboższych, zwraca zawsze autor uwagę na odpowiedni skład karmy, która wyrównywać powinna braki w karmie naturalnej. Czytelnik znajdzie w książce Kokesa obfity wybór przepisów na właściwe i dostosowane do siedliska pory roku i rodzaju zwierzyny, zestawienie odpowiednich „jadłospisów“.

Dużo miejsca poświęca autor polepszeniu i uprawie pastwisk leśnych, poletek z wysiewem mieszanek, łąk śródleśnych meliorowanych, nawożonych i wzbogacanych koniczyną lub szlachetniejszymi gatunkami traw. Zaleca również przygotowanie kiszonek w specjalnie założonych silosach dla wysokiej odżywczo i zdrowotnie wartości tego rodzaju karmy w porze zimowej.

Spory materiał z doświadczeń, powodzeń i niepowodzeń dawnych hodowców, zawarty jest w tej części książki, która traktuje o różnych sposobach wychowania młodej zwierzyny, zajęcy, dzikich kaczek, bażantów...

Sporo ciekawych rzeczy znajdziemy tu też w zakresie zakładania dla ptactwa remiz i wszelkiego rodzaju śródpolnych przytulisk, w rodzaju kęp tarniny i głogów, a także i w zakresie budowy praktycznych i dobrze pomyślanych paśników.

Systematycznie i starannie opracowana książka Otakara Kokesa stanowić będzie cenną pozycję czeskiej, powojennej literatury łowieckiej.

Rysunki i fotografie liczne i celowo dobrane.

Całość godna przeczytania (i do przeczytania, lub co najmniej do „przekartkowania“ dla polskiego czytelnika, nawet niezbyt obeznanego z czeszczyzną — łatwa), toteż zainteresuje niewątpliwie naszych myśliwych hodowców.

Dr Marian Ludziński

Wydawca — Polski Związek Łowiecki. Warszawa, Nowy Świat 35. Konto PKO I-1077.

Komitet Redakcyjny: J. Bohusz, E. Frankiewicz, J. Gieysztor, S. Ihnatowicz, Z. Korolkiewicz, Z. Kowalski, R. Kryspin, S. Rozwadowski, M. Sadzewicz, A. Śliwiński, M. Mniszek Tchórznicki, H. Zapolski-Downar.

Zam. 1490 Z. G. P. W. Nr 1 B-88331